



**WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA  
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM**

**W TYM NUMERZE: LIRYCZNY PORTRET MARKA PIECHOCKIEGO, LIRYCZNE WIERSZE ROMANA HABBASA, JANINY JURGOVIK, TOMASZA WALCZAKA, ARTURA WODARSKIEGO, IRENY ZIELIŃSKIEJ, KRYSZYNY WOŹNIAK. NOWE OPOWIADANIA ANETY HWOZDYK-GIZIŃSKIEJ, MAGDY TURSKIEJ, JANUSZA WŁODARCZYKA. SERDECZNE WSPOMNIENIE MACIEJA DUDZIĄKA O PROF. WOJCIECHU BURSZCIE, FELIETONY, REGENZJE, WIERSZE SATYRYCZNE.**

## NOWE OTWARCIE



ODDZIAŁ  
W GORZOWIE WLKP.

22 lipca br. odbyły się wybory nowego Zarządu Związku Literatów Polskich. Oto jego skład:

- Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk – prezeska,
- Beata Igielska – wiceprezeska,
- Ferdynand Głodzik – skarbnik,
- Łucja Fice – sekretarka,
- Krystyna Caban i Jerzy Gąsiorok – członkowie zarządu.

Nikt nie zastąpi naszego Irka – prezesa osobnego, radosnego i bezkompromisowego w swoim widzeniu roli ZLP w regionie. To on przez niemal dwie dekady scalał i aktywizował gorzowskie środowisko literackie. Dzięki Niemu rosła Biblioteka Pegaza Lubuskiego. Obiecujemy kontynuować to dzieło!

Nie pozostaje nam jednak nic innego, jak – dbając o dorobek i dziedzictwo – wytyczyć też dla gorzowskiego oddziału ZLP nieco nowe ścieżki.

Już dziś z uwagą śledzimy literackie aktywności Lubuszan i z radością konstatujemy, jak wielu pisze, i to całkiem niezle! Będziemy prezentować sylwetki naszych autorów i zapraszać na spotkania z mistrzami słowa spoza regionu. Pojawią się wydawnictwa, spotkania autorskie i wydarzenia kulturalno-artystyczne. Z całą pewnością zaczniemy „bywać” także w przestrzeni wirtualnej.

Do zobaczenia, przeczytania i usłyszenia!  
**Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk**

## NIEODPARTY UROK ZNIEWOLENIA

W roku 1961 na festiwalu w Cannes film Luisa Buñuela „Viridiana” został nagrodzony Złotą Palmą – nagrodą główną. Film został przez Watykan określony jako bluźnierczy i zakazany, został też zakazany w wielu krajach. Obecnie jest klasyfikowany na trzydziestym siódmym miejscu listy stu filmów wszech czasów Brytyjskiego Instytutu Filmowego. Biorąc pod uwagę, że od powstania kinematografii pewnie ze sto tysięcy filmów nakręcono... To niewątpliwie świadectwo wysokiej klasy sposobu narracji filmowej, wartości opowiedzianej historii, wreszcie uniwersalnych walorów dzieła Buñuela. Film ten zawiera pewną scenę, która skłoniła mnie do pogłębionej refleksji nad moim własnym tu i teraz, moim własnym postrzeganiem zachodzących zmian, moją własną ich oceną. Piszę w swoim własnym imieniu i nikogo nie chcę przekonywać do takiej wizji – ja ją tylko przedstawiam.

Synopsis filmu: Viridiana zamierza wstąpić do klasztoru. W trakcie nowicjatu przyjeżdża do zaniedbanej posiadłości bogatego wuja, Don Jaimego, będącego od lat jej protektorem, aby się z nim pożegnać. Don Jaime owładnięty jest obsesją do Viridiana, widząc w niej wcielenie zmarłej żony. Której nocy nakłania oszołomioną podanym napojem dziewczynę do włożenia sukni ślubnej zmarłej żony i położenia się na katafalku. Następnego ranka Viridiana budzi się w zgrozie przekonania, że została zgwałcona. Don Jaime gwałtownie zaprzecza, niemniej Viridiana, czując się zbrukana, rezygnuje z klasztoru. Wuj, zagnany w pułapkę, którą sam zastawił, wiesz się. Dziedziczy po nim Viridiana i jej kuzyn, Jorge, nieślubny syn Don Jaimego. Viridiana, w pragnieniu odpokutowania brukającego ją – w jej przekonaniu – grzechu, zajmuje się biedakami ze wsi i żebrakami koczującymi wokół kościoła. Uczy ich uprawy ziemi, czytania i pisanie, daje pracę w posiadłości, żywi we dworze. Kiedy Viridiana i Jorge wyjeżdżają w sprawach spadkowych, rezydencje opanowują żebracy. W dworskiej jadalni urządzają sobie oni wystawną kolację, w miarę upływu wieczoru przybierającą obsceniczno-orgiastyczny charakter. Wracając gospodarze, żebracy błagają o wybaczenie i odchodzą. Nie wszyscy, bo dwójka z nich atakuje Jorgego. Wchodzi Viridiana i ratuje go, żebracy bru-





## JERZY ALSKI

talnie obracają się przeciwko niej i próbują ją zgwałcić. Teraz Jorge ratuje Viridianę. Rita, pokojówka i kochanka Jorgego, pali cierniową, pokutną koronę Viridiana. W ostatniej scenie Jorge z Ritą gra w karty. Viridiana podchodzi do ich stolika, Jorge mówi: „Wiedziałem, że w końcu zagrasz z nami”.

Film jest arcydziełem. Prowokuje – jak zazwyczaj u Buñuela – fetyszami seksu i kazirodztwa, nieczystą hipokryzją Kościoła samego i tą z Kościoła się wywodzącą, odwieczną tępotą i egoizmem burżuazji, wreszcie – i jest to cytat z angielskiej wersji Wikipedii – ludowym bestialstwem. Scena kolacji, mającej być wykwinną, a przegradzającą się w zdarzenie obsceniczne, orgiastyczne i ohydne, w długich filmowych ujęciach stylizowana jest na wzór „Ostatniej wieczerzy” – fresku Leonarda da Vinci. Wszyscy znamy ten fresk i nieuprawnioną usurpację z mojej strony byłoby próbować go opisać. Natomiast to właśnie zestawienie, genialnego piękna zawartego w dziele Mistrza Leonarda z obsceniczną ohydą oddanej w filmie jego karykatury, stało się podstawą moich przemyśleń. Jeszcze raz podkreślam: nie pretendują one do jakichkolwiek ogólnych tez, są wyłącznie moimi, indywidualnymi refleksjami. Mało tego, nie są one namową do takiego sposobu interpretacji rzeczywistości – nie poszukuję współników. Ja je tylko przedstawiam.

Zestawienie tych dwóch obrazów niesłychanie inspiruje: piękno popadłe w rymszok i pytanie, jak mogło to się stać, jakiej drogi trzeba, aby – idąc od ideału – trafić w jego ponurą, groteskową karykaturę. W mojej analogii zawiera się to pomiędzy 1989 rokiem a 2021. Tyle czasu wystarczyło, abyśmy zaczynając od ideałów wolności, równości i braterstwa, będących fundamentem Trzeciej Rzeczypospolitej, stanęli dzisiaj na przystanku, na którym Wolność zeszała z obrazu Gericaulta i już za historyczną barykadą segreguje obywateli na pożądaných i niepożądaných. Równość wszystkich ludzi nieoczekiwanie wyciągnęła zza pazuchy książeczkę „1984” Orwella i świni znowu są równiejsze, a braterstwo utonęło w bagnie nienawiści takiej, przy której „Okropności wojny” Goyi wydają się ilustracją – mimo storturowanych ciał ludzkich – niedostateczną.

*Kłamstwo stało się prawdą, nienawiść stała się miłością, bezprawie stało się prawem, wykluczenie stało się akceptacją. I najważniejsze: zdziczenie stało się kulturą, a zwyrodnienie moralnością, najbardziej pożądaną.* Te słowa wypowiada w mojej ostatniej powieści pewien biskup, który z powodu powszechnych szykan wycofał się w odosobnienie. Biskup ten, niezwykle światły, ma swój wzorzec w rzeczywistym świecie. *Ale nazwano go Żydem, tak też. W tym najohydniejszym, narodowosocjalistycznym znaczeniu. Poza tym został purpurowym bandytą, pożytecznym idiotą, wrednym skurwysynem, kanalią, ubekiem, szują.* Jest to cytat z tej samej powieści, powtarzający znalezione w internecie epitety i inwektywy rzeczywiste kierowane pod adresem tego biskupa, kierowane pod jego adresem przez środowiska katolickie i tak zwane narodowe. Biskup walczył o zachowanie wizji Leonarda – o „Ostatnią wieczerzę” taką, jaką on namalował. Dzisiaj mamy przed oczami jej kuriozalną, obsceniczną, ohydną i zdziczałą wersję z filmu Buñuela. „Ostatnia wieczerza” w wersji – cytowanego za Wikipedią – ludowego bestialstwa.

Aby łatwiej było mi wyjaśnić, co właściwie mam na myśli, snując te rozważania, przywołam pewne zdarzenie z historii Polski. Zdarzenie, które będąc szlachetnym w zamysłu i ze szlachetnych pobudek wynikające, wyrodziło się w sztandarowy przykład tego właśnie, co – za angielską Wikipedią – nazwać można ludowym bestialstwem. Mam na myśli rzeź galicyjską, szerzej znaną jako powstanie Jakuba Szeli. Zdarzenie to miało miejsce w Galicji Zachodniej w roku 1846. Motywowane ab-

solutnie słusznym i głęboko uzasadnionym poczuciem krzywdy, zdegenerowało się niemal natychmiast do bestialskiego morderstwa szlachty, księży, urzędników państwowych, torturowania ze szczególnym zapamiętaniem kobiet i dzieci, palenia, niszczenia, wdeptywania w klepisko (dosłowne i przenośne) dworów, dobytku, inwentarza, urzędzeń. W ciągu kilku dni chłopci zamordowali, często w okrutny sposób, około trzech tysięcy osób, zniszczono i spalono niemal wszystkie dwory na terenach objętych powstaniem. Spokój przywróciło austriackie wojsko. Represje były więcej niż umiarkowane, dość wspomnieć, że Jakub Szela został zaledwie przesiedlony.

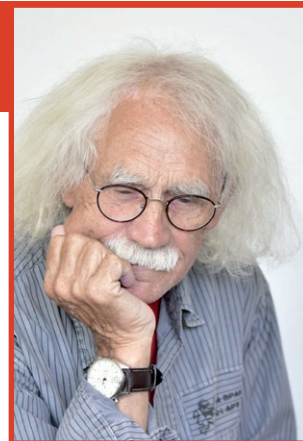
Co łączy Buñuelowską wizję „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci, bestialską rzeź galicyjską i historię państwa teraz celowo niszczącego prawa i obyczaje, rujnującego należną wszystkim dbałość o bezpieczeństwo i zdrowie, dewastującego system edukacyjny? Wspólne wydaje się wpisane w bohaterów – twórców owych groteskowych, ponurych, a i bestialskich wydarzeń – poczucie pewnej niemożności, niemożliwości objęcia przez nich pojmowaniem sytuacji czy zjawiska wymykającego się ich zdolnościom poznawczym. Tym bardziej wymykającego się, że pozostającego poza – tak, a nie inaczej pojmowanymi przez nich – możliwościami kontroli. Znają oni jedynie właściwe im możliwości, a są one charakterystyczne dla wyłącznie bezpośredniej ingerencji – możliwości buta i kija. Wszelka złożoność jest im obca, szczególnie taka, w której bieg zdarzeń, idee, wartości są *nie tymi*, które są oni w stanie pojąć i zaakceptować.

Z tą niemożnością łączy się stan głębokiej niechęci i urazy do świata, który nie spełnia ich oczekiwań, świata, który kieruje się niepojmowalnymi przez nich wartościami (trzy główne wymieniałem wyżej), świata, który nie akceptuje ich moralności, pokracznej i pełnej złośliwej zawziętości. A to oni czują się moralnie wywyższeni, bo byli dotąd poniżeni – pozbawieni możliwości realizacji swojej wizji świata. W dotychczasowym świecie nauczyciele i akademicy wpajali uczniom i uczniom wiedzę i idee wadliwe, paczące ich charaktery, wychowujące ich do swobód obyczajowych, politycznych i gospodarczych. W tym świecie lekarze okradali i zabijali pacjentów, kryjąc się nawzajem pod płaszczem korporacyjności. W tym świecie sędziowie sądzili niesłusznie, bo samowolnie, bez posłuszeństwa państwu i byli bezkarni w ferowaniu wyroków, co budziło nasze najwyższe oburzenie. Teraz my to zmienimy. My – niewolnicy.

Nie trzeba mieć za sobą doświadczeń niewolniczych, aby być niewolnikiem. Można się z psychiką niewolniczą urodzić i od urodzenia znać jedynie dwa warianty rzeczywistości. Albo ja jestem bity, albo ja biję – nic innego nie istnieje. Własna niemoc niewolnika, jego własne ograniczenia, jego zawody rzeczywistością, kreuja w nim iluzoryczną moc jego własnej, wyższej moralności. On ma rację, bo jest bardziej moralny. Jest bardziej moralny, bo ma rację. Nie musi niczego udowadniać.

Niewolnik może kraść, kłamać, oszukiwać, gnębić, poniewierać, poniżać, niszczyć, zabijać – i jest to absolutnie zgodne z jego – wyższą – moralnością. On to robi dla dobra wspólnego, a jeśli niektórzy tego nie dostrzegają, to dlatego, że nie uważnie spoglądają i myślą, a przede wszystkim są niemoralni. Nagnę ich, mówi niewolnik, a mówi *nagnę* dlatego, że jest to jedyny znany mu sposób argumentacji – zmusić siłą, złamać. Po czym, w imię własnej, wyższej w jego rozumieniu moralności kradnie, kłamie, gnębi, poniewiera... Nie trzeba mieć za sobą doświadczeń niewolniczych, aby mieć w sobie ten model psychiki. Model, który nakazuje *jakąś* interpretację „Ostatniej wieczerzy” Leonarda, a jeśli *jakokolwiek* interpretacja się nie zjawia, bo jest poza niewolniczym pojmowaniem świata, nakazuje „Ostatnią





## Z. Marek Piechocki

### STAĆ NA JEDNYM MOŚCIE

Wers 10 z Psalmu 90 (89). Przymyślnie autorem całości jest Mojżesz. Jednak ten fragment pochodzi z „Wersji Króla Jakuba”:

„...Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt  
lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt;  
a większość z nich to trud i marność:  
bo szybko mijają, my zaś odlatujemy...”

Tak więc ma Pani rację, namawiając mnie swoimi pytaniami do napisania o sobie, wydarzeniach, ludziach, bo przecież już przekroczyłem owe starotestamentowe „siedemdziesiąt”. I niewiele (któż wie ile? owszem, nikt doczesny) dzieli mnie od „odlatujemy”.

W tomiku „Czerpanie z pustki”, który wydała mi Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna (2014), zamieściłem taki tryptyk:

**1.**  
Teraz  
kiedy nadszedł czas ziółek  
częstych wizyt u lekarza  
mogę zobaczyć siebie  
w zwierciadłach oczu  
moich rówieśników

Staram się  
być  
piękny

Jeszcze

**2.**  
Jeszcze się udaje  
nie chodzę z cewnikiem  
nie biorę chemii ...

Dzisiaj przejechałem na rowerze  
czterdzieści trzy kilometry

Jeszcze się udaje  
żyć w zgodzie z sobą

**3.**  
Jeśli  
wynik z „Ca” w nagłówku zobaczę  
czy spotkanie z nim  
na tyle godne  
że nie zawstydzę się siebie

Od tego czasu minęło siedem lat. Lat dobrych i złych. Jak Pani wie, ten ostatni rok 2020 i do dzisiaj, bardzo niedobry. Z szalejącą epidemią koronawirusa COVID-19. Życie w ciągłym strachu, odprowadzanie krewnych i znajomych na miejsca ich ostatecznego na Ziemi pobytu. Odlecieli...

My, ja jesteśmy. Jeszcze.

**Rok 1960.** Gorzów Wielkopolski. Przyjechałem tutaj pociągiem z małej miejscowości w województwie poznańskim. Z Pniew. Najpierw na rozmowę (egzamin?), później – od września – do Technikum Ekonomicznego, które z pomocą Mojej Pani od Polskiego, Pani Weroniki Kurjanowicz, ukończyłem w normalnym czasie (podpowiadała mi podczas egzaminu z matematyki, który w 100 proc. bym oblał). Matura na 1000-lecie Państwa Polskiego w 1966 roku. To właśnie z tej niby-okazji miało jej nie być. Nooo, takie plotki były wtedy.

Pniewy. Miasteczko mojego dzieciństwa. Wprawdzie mieszkałem tam tylko trzy lata, od piątej do siódmej klasy, ale to były te najpiękniejsze:

**31**  
/wspomnieniowa/

Teraz  
kiedy już czas dzielenia pigulek na pory dnia  
oczekiwania na listonosza z emeryturą  
przenoszę myśl do tamtych lat  
kiedy budowanie tratw z tataraku  
czy odkrywanie płci  
w zakamarkach parku

Jakże smakował wtedy papieros  
palony przez nas czterech  
wielkich odkrywców  
traperów  
Indian...

Dorosłość była taka odległa

Jak dzisiaj  
dzieciństwo

Park, lasy, jezioro kilkaset metrów od domu, dziecięce przyjaźnie. No i książki, które budowały marzenia, przynosiły w odległe kraje, uczyły historii świata i ludzi. Pani Bibliotekarka nie wierzyła, że wszystko, co pożyczam, czytam, i pytała, kiedy mam na to czas. No cóż? Czasami z latarką pod kołdrą przenosiłem się do lasów Amazonii, puszczy Kanady, gór Inków, na indiańskie ścieżki wojenne lub palenia fajki pokoju, podwodne podróże kapitana Nemo.

Do książek można wrócić, do dzieciństwa już nie. Właśnie niedawno przeczytałem „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi”...

Po skończeniu technikum kolejne zakłady pracy. Tych nie za wiele, ale w większości jako kierowca różnych samochodów (kilkanaście lat karetką pogotowia ratunkowego).

Rodzina, dzieci:  
Tak pisałem do Poety Zdzisława Morawskiego:

„...Mijały lata  
Popychałem wózek z dziećmi  
Za kierownicą ciężarówki odmierzałem kilometry...”

Pyta Pani o moją znajomość, relacje z ks. Witoldem Andrzejewskim, którego kierowcą sporadycznie byłem. Żeby nie pisać na nowo, zacytuję swoje o Nim wspomnienie:

To była druga połowa lat 70. minionego wieku. Moja córka Monika mogła mieć wtedy pięć, sześć lat. Bywała ze mną na niedzielnych akademickich mszach w kaplicy na Chodkiewicza. Byliśmy tacy młodzi, nawet ja – ojciec Moniki i Maćka. I ks. Witold Andrzejewski też. Szef pełen energii, sił, z mocnym głosem, o który zazdrość, z kazaniem, co to ich z wypiekami na twarzy słuchaliśmy. I te wszystkie „ciocie” i „wujkowie” Moniki. I ta najważniejsza – Ciocia Małgosia W. To właśnie Ona, Lallunia, przyprowadziła mnie do kaplicy pod plebanią któregoś jesiennego wieczoru 1976 lub 1977 roku. Owszem, nie byłem

z powodów rodzinnych, pracy, aktywnym członkiem Duszpasterstwa Akademickiego. Nie jeździłem na obozy, wyprawy, pielgrzymki. Raz tylko do Częstochowy pociągiem i raz na rekolekcje do Bledzewa. I to właśnie z tym wyjazdem łączy się moje – jakże mi miłe – przezwisko Samochodzik. Pewnie z dwóch względów: po pierwsze, że wykonywałem zawód kierowcy; po drugie – od tamtego do Bledzewa wyjazdu. Otóż byłem wtedy posiadaczem takiego małego samochodziku – zastawa 750. Cała grupa jechała z księdzem Witoldem rowerami, ja tym samochodzikiem – gracikiem, co to po paru kilometrach się popsuł. Jakoś naprawiłem, prześcignąłem rowerzystów. Znow się popsuł. I tak kilka razy. W końcu dojechałem. I wtedy Szeff powiedział: „Oj samochodzik, samochodzik”. I tak już zostało. Do dzisiaj.

Potem był stan wojenny. Większość „akademików” zamknięto. Ja i kilka innych osób zostaliśmy na wolności. Byliśmy przy Szeffie. Może to wtedy zaczęła się nasza z Nim wzajemna bliskość? Przyjaźń?

Clive Harris – uzdrowiciel. Pierwszym szefem organizacji jego pobytu, uzdrawiania był Tobi (Piotrek Styczeń), później ja z całym Duszpasterstwem Akademickim kilka razy organizowaliśmy przyjazd Clive’a do parafii na Mieszka I. Ksiądz Witold, jak zawsze, z dobrym słowem, uśmiechem, radą w trudnych momentach: „Marek, nie panikuj! Będzie dobrze!”. I było!

A te wszystkie razem z Księdzem wyjazdy – ja jako szofer osobisty! Częstochowa, Św. Anna, Gidle, Poznań, Szczecin. I ten niezwykle pamiętny wyjazd – ale to już sam – samochodem Szeffa do Wrocławia po rekolekcyjność, w stanie wojennym. Brrrr...

Szczecin także – jak już chorował – jeździliśmy na ozonowanie nieogrzanych się ran.

Spowiedzi. Szeff w fotelu, ja u poręczy – spowiedź, rozmowa. „Marek, ja wiem, ty jesteś dobrym człowiekiem, tylko czasem coś ci się pomyli”.

Czytał moje teksty poetyckie na Anioł Pański w Radiu Plus. Jakże Mu byłem i jestem wdzięczny za akceptowanie mojego pisania o Bogu, mojej wierze, rozumieniu jej.

Lubił, jak wpadałem na chwilę, żeby poplepląć, jak przynosiłem kolejne swoje tomiki. Czytał je, komentował. Wiem, że darzył mnie swoją przyjaźnią. Kiedyś w Szczecinie, po jakiejś uroczystości, przedstawił mnie tamtejszemu metropolicie: „Marek Samochodzik – mój szofer i przyjaciel, z naciskiem na „przyjaciel”. Podobnie było w Częstochowie, w refektarzu, gdzie przecież prawie sami biskupi i ja z Nim! Przy Nim! Owszem, duma mnie rozpieła!

Raz Go zawiodłem!...

Fragment tekstu Z. Marka Piechockiego przygotowany dla wydawnictwa „Łączą nas ludzie i miejsca – w kulturze”. Projekt realizuje Stowarzyszenie im. Eugeniusza de Mazenoda z redaktorką portalu [www.egorzowska.pl](http://www.egorzowska.pl) Hanną Kaup. Całość ukaże się jeszcze w tym roku. W biuletynie znajdują się również rozmowy z Jerzym Gąsiorkiem, Jerzym Hajdugą, Michałem Bajsarowiczem i materiały o Ewie Szlempo, która zajmuje się pisaniem ikon.

## Aneta Gizińska-Hwozdyk

### MRUczanka

Drugie miasto. Kilometry kwater. Bez okien i drzwi. Ogromna cisza ludzkich istnień. Był czas, kiedy w tym miejscu odczuwała niepokój. Może nie strach i nie lęk, ale obcość i taki specyficzny brak spoiwa pomiędzy światami. Bywała tu, ale z radością wracała do swego świata. Rodzaj odwiedzin, lecz takich, które niosą z sobą ulgę wychodzenia. Ten „ich” świat często interpretowała poprzez pryzmat śmiertelnych chorób, ludzkich tragedii, niewyobraźnego cierpienia i olbrzymiego smutku. Ale od kiedy w tym właśnie świecie przybywało bliskich jej osób, zaczęła tę przestrzeń postrzegać jako nieco bardziej „oswojoną”. To byli zwykli ludzie, którzy kiedyś przyjaźnili się, rozmawiali, mieli swoje tembry głosu, żartowali, chodzili na randki, zdobywali wiedzę, zwiedzali świat. I jeszcze patrzyli w słońce. I jeszcze uciekali przed deszczem. I jeszcze mieli perspektywy. I marzenia. I nadzieję. I byli przez kogoś bardzo kochani.

Drugie miasto. Niezwykle ciche, choć tak bardzo przeludnione. A pomiędzy kwaterującymi tutaj na wieczność całą byli jej krewni, dziadkowie i babcie, były jej koleżanki i jej koledzy. Niedawno dołączył do nich jej tato.

Nagły ruch był zaskakujący w tej przestrzeni bezruchu. Na szczęście ruch, który dostrzegła, był takim o charakterze horyzontalnym – coś się przesunęło, a nie leciało w górę lub w dół. Mała jaszczurka zgrabnie wysunęła pyszczek spomiędzy kwiatów, bystrymi oczkami prześwieciła otoczenie i czmychnęła kilka centymetrów dalej. Znalazła wolną powierzchnię grobu i – jak gdyby – rozpoczęła proces opalania się.

Na powierzchnię mogiły łagodnie zleciał liść i zatrzymał się nieopodal krzyża. Nagły ruch liścia – tym razem wertykalny – choć był równie cichy jak jaszczurki, lecz nieco bardziej niepokojący. Ale to okazało się jedynie forpocztą nieoczekiwanego sfrunięcia „z przytupem”. Oto mały ptak spoczął na krzyżu i przyglądał się jej z ciekawością. Nie trwało to długo. Po kilku sekundach przefrunął na inny grób i tam, na cieniutkich łapkach, przemierzał przeszkody wypalonych zniczy. Za chwilę poleciał na jeszcze inny, i jeszcze dalej, ale cały czas w zasięgu jej wzroku. Jak gdyby czegoś szukał. Jak gdyby do kogoś tu przyszedł. Niczym człowiek błądził wśród mogił, próbując znaleźć tabliczkę z imieniem i nazwiskiem kogoś szczególnie bliskiego. Wreszcie zniknął jej z oczu. Zniknęła też jaszczurka i tylko ptaki gdzieś na wysokościach koron cmentarnych drzew śpiewały o tym, co widać poza bramą cmentarza.

Wtem... z grobu w alejce obok, ledwie widocznego z tej perspektywy, ponownie zerwał się tamten ptak. Przyleciał na grób taty raz jeszcze i przysiadł na krzyżu – dokładnie tak samo, jak w chwili, gdy tu spadł gdzieś z wysokości. Przechylał głowę, przyglądał się. Namawiał?

Za ptakiem podążyła ku innym grobom, dalszym, w głębi cmentarza. Tej części nie znała. Starsze groby, uporządkowane latami, datami i stylem wykonania nagrobków, ale już bardziej zaniedbane. Tu nie działało zjawisko świeżości pamięci, a – być może – ci, którzy pamiętali, kochali i tęsknili, sami także spoczywają w jakimś zakątku cmentarza i w tamtej rzeczywistości przechadzają się wśród najdroższych wspomnień, a czas przestał ich również dotyczyć.

Ale oto jest jej ptak! Przeszył rozmyślenia nagłym wzlotem i machnięciem skrzydeł. Ponownie, po swojemu, siedział teraz na szczycie krzyża i – przechylając śmiesznie głowę – nawoływał do zabawy w chowanego lub berka.

Tamte ich zabawy w berka i chowanego! Prawdziwa atrakcja, wspaniała rozrywka i, paradoksalnie, mimo że człowiek się chował

– to jednak był wśród ludzi. Współcześnie takie zabawy nazywano by „integracją”. Wtedy były to po prostu zwyczajne „dziecięce zabawy”. Natomiast „integrowali się” w innym miejscu i w inny sposób. Jedyna taka organizacja, do której wtedy należeli prawie wszyscy młodzi ludzie. Przechodzili poprzez wszystkie stopnie zaawansowania oraz wspinali się na kolejne szczeble wtajemniczenia. Najpierw zuchami dzielnie zajmowali się harcerze. To oni – choć niewiele starsi – organizowali im zabawy, angażowali ich do poznawania świata i jego tajemnic, uczyli piosenek, płaśw i bycia ramieniem w ramieniu z drugim człowiekiem. Na zawsze i do końca... W harcówkach przez cały rok utrzymywał się wyjątkowy klimat letniego obozu. Podczas spotkań niemalże czuli zapach sosnowego lasu, słyszeli szum morza i gwizd wartowników, którzy zmieniali się na warcie w podobozie. To właśnie w zaciszu harcówek nabywało się wiedzę niezbędną każdemu harcerzowi. Marzyli o sprawnościach. Z zapartym tchem słuchali „o historii znad kresowych stanic” oraz „o obrońcach naszych polskich granic”. Zdawali sobie sprawę, że nieustannie należy się doskonalić. Trzeba być lepszym, wiedzieć więcej, sięgać wyżej. Wiedzieli, że bez wiedzy o świecie – nie zrozumie się świata. Bez pomagania ludziom – nie będzie się prawdziwym człowiekiem. Bez zrozumienia historii – nie stanie się jej częścią.

Tu, w tym miejscu, w tej części globu, na tej szerokości i długości geograficznej mieli dużo więcej do zrozumienia, zobaczenia, doświadczenia i poznania. Tu nie funkcjonowały historie o Piaście Kołodziejcu lub legendy o Krakach czy też Warsach i Sawach. Ich rodzice przyjechali bowiem zewsząd, z różnych części Polski, przybyli z Kresów Wschodnich, przywieźli swoje „dybuki”, „świtezianki”, „kłobuki” oraz wszystkie inne stwory i postaci z legend, aksjologicznie zakorzenione w świecie, z którego przybyli na Ziemię Zachodnią. Mówili różnymi językami i dialektami, w różnych narzeczeniach. Tradycje się ścierały i z czasem zacierały. „Różni” asymilowali się z miejscem i oswojali z przestrzenią oraz pokonywali animozje i nienawiść. Wraz z upływem czasu wykształcali to, o czym na początku dwudziestego pierwszego wieku powiedzą językoznawcy: „nowe dialekty mieszane”. Nie znali tych ziem. Mówiono jedynie, że teraz są tu u siebie i muszą się porozumieć jednym językiem i jednym głosem. Niekoniecznie językiem ich przodków.

Mieli przed sobą hektary pól, które trzeba było uprawiać, nic o nich nie wiedząc. Mieli przed sobą tysiące jezior, rzek, rzeczulek, wykrotów, wąwozów, o których wiedzieli tylko tyle, że trzeba je oswoić, aby uczynić tę przestrzeń własną, nie obcą, i ciągle, nieustannie, bez przerwy znajdowali jakieś drugie dno. A do niego nie sposób było dotrzeć.

W domach, które zasiedlili, leżały na stołach niemieckie gazety, a po obejściach – łapa za łapą – chodziły kundle, które rozumiały tylko język niemiecki, gdyż były autochtonami. I może dlatego tak często wyprowadzały ich w pole w ramach spaceru, ponieważ nawet w swym instynkcie zupełnie nie rozumiały, dla czego nic nie rozumieją.

Wskutek wszystkich wymienionych czynników również „ich harcerstwo” było inne. Takie właśnie – „ich”. Młodzi ludzie musieli nabyć stosowną wiedzę na temat wielkiej polskiej historii, kulturować pamięć o bohaterach narodowych, a jednocześnie docierać do istoty funkcjonowania tych ziem, na których skrzyżowały się losy ich dziadków, rodziców, a wreszcie ich losy i ich historie pisane prawdziwym życiem na tym wyjątkowym „Dzikim Zachodzie”.

\*\*\*

Aleja grobów z lat osiemdziesiątych. To bohaterowie tamtych lat. Pionierzy tych ziem. Nie wszyscy byli starszuchami. Niektórzy odeszli w kwiecie wieku. Naznaczeni syndromem

przeznaczenia. Zaludniali tę całkiem wtedy nową nekropolię – budując miasto w mieście. W tym – spalonym w czasie wojennej zawieruchy – to oni wytyczyli nowe drogi, zbudowali nowe mosty, ożywili mowę i zaludnili arterie wózkami z budą, z których to wózków wykluwały się nowe pokolenia ludzi niezających wojny.

Adam? Nazwisko brzmi dziwnie znajomo. Rok śmierci? Ten sam... Lat siedemnaście... Tak, to TEN Adam. A raczej tamten Adam.

Tymczasem prak odleciał na gałąź i przyglądał jej się bacznie, odsłoniwszy w ten sposób cały krzyż i całą tabliczkę z imieniem, nazwiskiem, datami... Wizytówka człowieka... Budzą się wspomnienia. Odżywają na tym cmentarzu. Z martwych powstają.

\*\*\*

Były wszędzie! Przerdzewiałe, wkomponowane w leśną zieleni. Kapały grube cielska w uśpionych leśnych jeziorach lub wygrzewały się na słońcu. Różnie je nazywano, ale każdy kolejny budził grozę. Niewypały, niewybuchy, bomby... Niektórzy stosowali peryfrazy i nazywali je dość eufemistycznie „pozostałościami z czasów wojny” lub „przerdzewiałymi znakami czasów”. Z pewnością jednak były czymś w rodzaju specyficznego podarunku dla nich – pozostawionego jako dodatek wśród tych przepięknych lasów, pól i jezior.

Nieraz gazety informowały o znalezieniu kolejnej bomby, o ewakuacji mieszkańców. Historie o dociekliwych młodzieńcach, których proces poznawania życia znacznie przekroczył wszelakie progi harcówek, a tym bardziej domów, i zakończył się tragicznie – ponieważ majstrowali przy znalezionym niewybuchu – one właśnie były rekordy popularności. Gdyby policzyć te wszystkie oderwane kończyny tak górne, jak i dolne, te wszystkie rany szarpane, można by ułożyć z nich trasę ludzkich dramatów i spisać książkę najtrudniejszych przypadków medycznych. Albo... lokalnych legend, których przecież mieli ciągle niewiele...

Wtedy prawie wszyscy jej koledzy interesowali się tak zwanyymi militariami. Zbierali stare łuski od naboju, przynosili jakieś przerdzewiałe lub przestrzelone żołnierskie hełmy. Na lekcjach przysposobienia obronnego wszyscy wkuwali, jakie są rodzaje niewybuchów, uczyli się, jak z nimi postępować; ale dodatkowo kształtowali umiejętność rzutu granatem do celu oraz nabywali wprawę w posługiwaniu się maskami przeciwwgazowymi. Przechodzili musztrę niemalże wojskową oraz strzelali na szkolnych strzelnicach.

Tak więc niejako równoległe z tym intrygującym (nowym) światem, który tak bardzo chcieli poznawać, stawali się uczestnikami (starego) świata, w którym ziemia wydzieriała ze swych trzewi swoje skarby, jakby chcąc się ich pozbyć na zawsze.

\*\*\*

Ile Adam miał lat wtedy, gdy go poznała? Na pewno był od niej starszy. Niedużo, ale starszy. Pamięta, że wtedy był już zastępowym, później drużynowym. Budził respekt wśród chłopców. A dziewczyny wdychały do niego po nocach. W ich rozmowach Adam był niczym rycerz, a jego zniszczony składak marki „Wigry” stawał się niemalże białym rumakiem, na którym pędzi ku swojej damie serca. Starszy kolega. Świetny druh. No i rewelacyjny chłopak. Gdy zastęp Adama pełnił dyżur w kuchni, miał zawsze do pomocy prawie wszystkie harcerki z podobozu. A w trakcie roku szkolnego, podczas zbiórek, gdy harcówka stawała się ich małym, harcerskim światem, Adam chwycił za gitarę i wtedy już na pewno było wiadomo, że „drużynowy jest wśród nich” i „opowiada starodawne dzieje” oraz „wskresza bohaterski czas”. To było wtedy miarą rycerskości młodego czło-



wieka. A gdy swoim mocnym głosem zaintonował: „Hej raz, mówię wam, szumi las, mówię wam, a w lesie, mówię wam, sosienka, spodobała mi się jeden raz harcerka...” – wtedy każda dziewczyna chciała wstawić tam swoje imię: Basieńka, Oleńka, Justyna i Marysienka.

Obóz harcerski, Wybrzeże Szczecińskie, Ziemie Odzyskane, „nowe dialekty mieszane” i ścieranie się kłobuków oraz diabłów wszelakiej maści i formy. Oto ich „nowe dialekty” mieszały się jeszcze bardziej i silniej, zawiązywały się więzi przyjaźni i wspólnego języka. Przestrzegano ich przed niewybuchami, ale młodość chciała wybuchów, pierwszych randek i atrakcji o charakterze piorunującym. Na wydmach, nieco dalej od głównego zejścia na plażę, znajdowało się wejście do bunkrów, których masową eksploracją nikt się jeszcze wówczas nie zajmował. Wyobraźnia podpowiadała, że są tam długasne korytarze, że panuje tam ciemność, a z trzewi bunkrów bije chłodem i śmierdzi ekskrementami, których nie mógł raczej zostawić jakikolwiek nieboszczyk. Owszem, zaglądali niekiedy do środka – to właśnie były takie ich „wybuchy” i „pioruny”. Rzucali w przestrzeń kilka słów, a echo odpowiadało, niestety, dokładnie tę samą „historię”. Żaden duch, wyszedłszy z czeluści ciemnego korytarza, nie straszyl ich, śpiących w harcerskich namiotach. Bunkry miały jeden synonim, podczas gdy niewybuchy aż tak wiele. Schrony... A schrony kojarzą się raczej z bezpieczeństwem i spokojem. Dlatego o bunkrach po prostu się nie mówiło.

One – kilkunastoletnie harcerki – siadywały gdzieś na wydmach i układały wiersze, nuciły piosenki, rozmawiały o harcerzach – rycerzykach. Tymczasem oni w tym czasie chodzili swoimi drogami... Później były pożegnalne ogniska, a ostatnie słowa odkładały się w pamięci i powracały wtedy, gdy los miewał nieco gorszy przebieg. Łzy w oczach, iskierki z ogniska, zapach dymu, szum lasu i romantyzm chwili – zatrzymane już na zawsze. A potem pozostawał tylko gwar w harcownicę, wspomnienia i plany obozowe, które w zimowe popołudnia urozmaicały ich życie wśród codzienności i zwykłych zdarzeń.

\* \* \*

Może gdyby wtajemniczyli dziewczyny w swoje sobotnie plany i przedsięwzięcia, byłoby inaczej. Może niejedna z nich przytrzymałaby za rękę i odwiodła od tego pomysłu. Ale chłopcy tego dnia nawet nie przyszli na zbiórkę. W sobotnie, wiosenne przedpołudnie swoją zbiórkę urządzili przy garażach, w samym centrum miasta. Ich rowery gotowe były do największych wyczynów. Składaki miały właśnie poznawać złożoność świata i szukać czegoś nowego w tymże świecie. Niestety, w rowerze Adama spadł łańcuch. Rower przewrócił się, a podczas upadku wygięła się kierownica. Nadmienił, że chyba z nimi nie pojedzie, bo nie ma na czym. Nie dawali za wygraną. Wyprostowali kierownicę, nałożyli łańcuch. I tak oto – rower gotowy był do podróży.

Dziewczyny śpiewały o harcerskich przygodach – o tym, że „wszędzie nas pędzi, wszędzie gna harcerska dola radosna”, a tymczasem oni ku przygodzie właśnie pędzili. Nietrudno było znaleźć wejście do zrujnowanych bunkrów. Dwadzieścia pięć kilometrów od miasta, w środku lasu, nieco pod osłoną drzew, ale znaleźli to miejsce od razu. Przebrnęli przez leżące u wejścia zwaly gruzu. Wybrali bunkry, w których, podobno, znajdowały się w latach trzydziestych magazyny i wojskowe koszary, a żelbetonowe budowle połączone były całym systemem podziemnych dróg i labiryntów. Ileż ciekawych rzeczy można by tam odnaleźć! Harcerz chce wiedzieć więcej. Przed nimi prawdopodobnie nikt wcześniej tam nie był, nikt się nie odważył...

Nie było jeszcze wtedy alkalicznych baterii, takich o przedłużonym czasie działania. Latarki harcerzy gasły więc jedna

po drugiej. Za daleko od wejścia i zdecydowanie za blisko, by się wycofać. A oni przecież nie bali się ciemności!

Pierwszy spadł Marek. Nie zdążył nawet krzyknąć. Nagle znalazł się kilkanaście metrów niżej, zakopał się w zwalach ziemi i nie mógł się wydostać. Dopiero po jakimś czasie wydał z siebie jęk. Zrozumiał, co się tak naprawdę wydarzyło.

Adam skoczył, by ratować przyjaciela. Nie przewidział, że uskok jest dużo głębszy. Gruz wysunął się spod nóg i Adam poleciał w ciemną przepaść. Prawdopodobnie w trakcie tego lotu już wszystko zrozumiał.

Harcerki na sobotniej zbiórce śpiewały o odwadze. Jedna z nich zaintonowała utwór, który przeważnie wykonywali tylko na obozach, gdyż tak bardzo kojarzył się z morzem. Piosenka marynarzy tak często śpiewana przy ognisku... Dobitnie podkreśliły refren: „... na dnie z honorem lec ...”.

\* \* \*

Adam miał siedemnaście lat i ogromny apetyt na życie. Marek – przeżył. Adam – nie. I nie było wtedy dla tych, którzy zostali, żadnej pomocy psychologicznej. Odbył się apel, mowa ucząca, przestrzegająca, napominająca i wiążąca w całość zbieg okoliczności...

W trumnie – ubrany w harcerski mundur – wcale nie wyglądał na człowieka ze złamanym kręgosłupem i pękniętą podstawą czaszki. Jak gdyby miał zaraz schwycić za gitarę i zaśpiewać: „Ogniska już dogasa blask, braterski splećmy krąg...”.

I w tym harcerskim mundurze od razu przeszedł do legendy.

Adam nie doczekał atrakcyjności zabytkowych bunkrów, wycieczek i tłumów turystów, zaopatrzonych w stosowny sprzęt i wiedzę. Turystów, którzy pod ziemią przekraczają granicę z Niemcami i suną z nimi ramię w ramię tą samą płataniną podziemnych korytarzy i fortyfikacji. U wejścia do tamtego bunkra zamontowano masywną, metalową kratę. Ale po jakimś czasie, gdy ludzie przestali się interesować wydarzeniem, a sensacja zastąpiona została jakąś inną, zbieracze złomu kratę wymontowali i pewnie zarobili na niej trochę grosza

Turystów przestrzega się, aby nie płoszyli nietoperzy zahibernowanych w zimowym śnie, i opowiada się niekiedy „legendę o Adamie” – z harcerzem Adamem w roli głównej. Jak w każdej legendzie – jest w niej i trochę prawdy, i trochę zmyślenia.

Adam miałby dzisiaj czterdzieści dziewięć lat. Może byłby szanowanym biznesmenem, który w MRUCzankę dawnych, ponemieckich bunkrów zainwestowałby niemałe pieniądze i czynił je – te „schrony” sobie poddanymi. Ale leży tutaj, kilka metrów pod ziemią, i nigdy się nie dowie, jak bardzo zmienił się świat oraz Marek i inni koledzy.

\* \* \*

Wiatr zwiewa kolejne liście. Jesień, być może, nadejdzie jeszcze dzisiaj. Świat odpocznie od harcerskich obozów.

Nikt już nie pamięta o kłobukach, dybukach i świteziankach. Ludzie żyją rozkopanymi drogami, upalnym latem i brakiem urodzaju. Żaden pies nie szczeka już w obcym języku. Niewybuchy raz po raz wychodzą jednak na ziemię i jest ich jeszcze mnóstwo w trzewiach pól, lasów, pod powierzchniami jezior.

Drugie miasto wyrosło. Niezwykle ciche, choć tak bardzo przeludnione. A pomiędzy kwaterującymi tutaj na wieczność całą byli jej krewni, dziadkowie i babcie, były jej koleżanki i jej koledzy. Zwykli ludzie, którzy kiedyś przyjaźnili się, rozmawiali, mieli swoje temby głosu, żartowali, chodzili na randki, zdobywali wiedzę, zwiedzali świat. I jeszcze patrzyli w słońce. I jeszcze uciekali przed deszczem. I jeszcze mieli perspektywy. I marzenia. I nadzieję. A teraz trwają w pamięci tych, którzy żyją.

Irena Zielińska

## ISTNOŚĆ

Jestem wymalowana  
na wielu obrazach  
w wielu wcieleniach –  
istnieję  
ubrana w instynkty  
i zmysły  
śmiertelna –  
a jednak w marszu pokoleń  
biorę czynny udział  
wessana w geny  
aż po załóżki nerwów

Od wewnątrz – rozjarzona  
na zewnątrz siwa –  
osobna  
jak popiół rozsypana  
na ścieżce stuleci

Jestem w pamięci  
powielona głodem  
wypukła –  
na stepowo-pustynnych  
równinach  
wklęsła –  
w pionowych  
widnokręgach czasu

Milczę –  
z wodą w ustach  
w deszczobicu burzy  
krzyczę –  
gardłami psów w gonitwie polowań  
zziajanych  
mój krzyk  
na sztandarach ozorów  
kwitnie  
psim łkaniem

Zjawiam się w wielokrotności  
w tajemniczości zdarzeń  
i znaczeń –  
duża – u podnóżka  
przed tronami – mała  
głośna  
i cicha

Wymalowana –  
w istności mojej  
od świtu do zmroku  
od koloru do zmętnienia oczu –  
wędrując przez szybę powietrza  
szkicuję postać

Maciej J. Dudziak

WOJTEK, AUGUR KULTUROWEGO  
ZRÓŻNICOWANIA

## Zapiski na marginesie dzienników

*Termin „rozpamiętywanie” charakteryzuje polisemiczność, stosowanie go w różnych typach dyskursów potocznych i naukowych oraz uwikłanie jego semantyki w zbliżone kategorie pojęciowe. Polskie „rozpamiętywanie” oznacza tedy zarówno wspomnianie, odtwarzanie, przywoływanie w pamięci, wpadanie w zadumę, roztrząsanie, wspomnianie i wracanie pamięcią w przeszłość (w tym nostalgję), jak i kontemplowanie, medytowanie, przeżywanie i nadmierne zastanawianie się. Rozpamiętywanie stanowi coraz bardziej zaznaczający się czynnik polskiej kultury pamięci, co widać szczególnie w ramach krajowej wersji wojen kulturowych w dziedzinie aksjologicznej wykładni sensu dziejów i cierpienia zbiorowego.*

Wojciech Józef Burszta, *Upamiętnianie jako forma praktyki kulturowej*

## Październik 1996, św. Marcin 78, Poznań

Collegium Historicum. Winda nie działała (ta sama winda, na której ścianach ktoś uporczywie przypominał o nadchodzącym niechybnie akcie, co semestr sugestywną naklejką „Sesja!!!”). Na piąte piętro, szerokimi w preludeum, a coraz węższymi w kolejnych, wyższych partyturach budynku, dostać się można było wyłącznie schodami.

Niewielka galeryjka na zwieńczeniu piętra nabierała szczególnego znaczenia. Wymuszała decyzje nawigacyjne: w lewo do nobliwej sali wykładowej 512 (?), biblioteki i sekretariatu, czy w prawo, ku bliżej nieokreślonej przygodzie. Pójść w prawo, zwłaszcza w celebrowane poniedziałkowe przedpołudnia, oznaczało dla mnie w nakreślony październikiem dzień umówione od kilku dni konsultacje z Profesorem. Jeszcze na schodach dopadła mnie trema, przyjaciółka wystąpienia. Jak nie wyjść na idiotę? Przed białymi sepiami olejnej farby, którą zaciągnięte były drzwi do gabinetu, trzy szybkie oddechy. Nerwowe pukanie do drzwi. „Taaak?” – profesorski głos zapraszał z drugiej strony. Jestem w środku. Obłoczek błękitniejącego dymu papierosowego zasysanego przez uchylone okno wiodące na betonowy dziedziniec. Trema stężała. Profesor nie był sam.

– No i, co tam?

Przetykam ślinę po suchym gardle.

– No jest taka sprawa... – próbuję zacząć.

– Wąska dupa – szeroka ława! – Profesor wtrąca, a pozostali w gabinecie uśmiechają się rozbawieni.

Trema młodzieńcza zmieniła się natychmiast w przerażenie. Uciec, wyjść. Jak najszybciej.

– Dobra, siadaj, młody, i mów, o co chodzi.

Profesor wskazał na miejsce obok siebie. Jednym zdaniem skrócił dystans, a studencki stres pierzchnął wraz z papierosowym dymem w szczelinie uchylonego okna. Rozmawialiśmy. Nie pamiętam dokładnie o czym. Pewnie o jednym z pomysłów, które jakiś czas później znalazły swoje przełożenie na realizację.

## Kwiecień 1998, Jyväskylä, Ahlmaninkatu 2, Finlandia

Biblioteka Uniwersytecka. To, że dzisiejsza noc będzie jutro, to pewne. Tu, na Północy, noc w zadziwiająco szybkim tempie ustępuje pola pęczniącemu jasnością porankowi. Zaszyty w odległy korytarz okupują od świtu jeden z komputerów. Kończę *Syberię. Poza życiem*. Przytłaczające bielą i czernią miesiące zimowe teraz i tu ułatwiają odczuwanie minimetrów syberyjskich doświadczeń wtedy i tam. Dźwięk systemowy z komputera. Spoglądam na skrzynkę odbiorczą: Wojtek..! Jest właśnie na stypendium w Chicago. Dopytuje we właściwy dla siebie sposób, jak się ma moje północne zesłanie :) Przede wszystkim interesuje go książka. Niemal

w czasie rzeczywistym wymieniamy kilka maili. Dobra! Pisze w ostatnim tego dnia – Pisz, buszuj w śniegu, ja tymczasem lecę na mecz Bullsów!

### Listopad 1999, Poznań, Pub Emma, ul. Kościuszki

Głębokie sofy. Subtelnie nienachlana snuła się w tłach i załamaniach faktur muzyka. Pogoda za oknem była odarta z właściwości.

– Jest taka sprawa! W krótkich słowach wyjaśniłem pomysł na projekt badawczy, który miałby zająć się badaniem i monitoringiem zmian na pograniczu polsko-niemieckim. W mojej rodzinnej Witnicy dużymi susami zmierzała właśnie do końca rewitalizacja zabytkowej willi, która z założenia stać się miała Centrum Współpracy Polsko-Niemieckiej. Baza była. Wojtek, jak zawsze, słuchał. Nie miałem żadnych oczekiwań. Raczej spodziewałem się, że parskanie śmiechem. Po chwili milczenia Wojtek zaczął: A co byś powiedział na Centrum Badań Euroregionalnych? Co? Myślę, że można w to włączyć Zakład. Co ty na to?

Wojtek miał na myśli Zakład Badań Narodowościowych PAN, któremu przez długie lata szefował. Byłem pod wrażeniem. Szybko ustaliliśmy listę priorytetów. Rodzaj programu oraz listę projektów i koniecznych spotkań. Kilka dni później spotkaliśmy się we Frankfurcie nad Odrą, w którym na tamtejszym Uniwersytecie Europejskim Viadrina znaleźliśmy sprzymierzeńca w postaci Katedry Historii Społecznej kierowanej przez prof. Helgę Schulz. Wojtek przyjechał swoim fiatem sieną, po drodze zahaczając o Witnicę, i kolejne spotkanie z burmistrzem Andrzejem Zabłockim.

Dość szybko powstały dwa zwarte dzieła pod redakcją Wojtka: *Euroregion „Pro Europa Viadrina” pomostem do Zjednoczonej Europy. Analizy i Rozpoznania* (Gorzów 2000) oraz specjalny numer „*Spraw Narodowościowych*”. Seria Nowa (Poznań 2001). Zarówno jedno, jak i drugie opracowanie dedykowane było dość nowej problematyce związanej z euroregionami, co z tego wynikać może i wynika dla kondycji pogranicza polsko-niemieckiego. W kolejnym roku uruchomiliśmy afiliowany przy Zakładzie Badań Narodowościowych projekt edukacyjny pod nazwą Collegium Europejskie.

Dość regularnie zapraszaliśmy, szkoliliśmy dziesiątki osób i organizacji NGO z całego kraju w zakresie już nieodległego członkostwa Polski w strukturach Unii Europejskiej. Jakąś chwilę później otrzymaliśmy propozycję z Wyższej Szkoły Administracji w Bielsku-Białej, aby stworzyć rodzaj oddziału CBE na południu Polski. Wojtek, jak zawsze, był przychylny. Do 2005 roku zrobiliśmy kilka konferencji w ciekawej konfiguracji, bo ze słowackim uniwersytetem w Żylinie. Słowacko-polskie doświadczenie pogranicza, a przede wszystkim zupełnie różne od naszych zachodnich wyobrażeń dotyczących wielokulturowości, narodowości i nacjonalizmu wniosły sporo do naszych roboczych dyskusji o zróżnicowaniu, którego w żaden sposób nie dało się (na całe szczęście!) sprowadzić do wspólnego mianownika.

*Dyskurs zogniskowany na pojęciu narodu dostarcza modelowej wykładni, co to znaczy mieć tożsamość i przynależność do terytorium. Fascynujące jest to, w jaki sposób jest on adaptowany przez tych wszystkich, których nacjonalizm w istocie wyklucza poza obręb własnych uprawnień. Lękowi przed innymi (heterofobia), którym zajmowali się tak szczegółowo antropologowie, w warunkach państwa narodowego, odpowiada ksenofobia. Na-*

*ród jest z definicji grupą endogamiczną wzorowaną na pojęciu rodziny. Wszyscy obcy, którzy przybywają na takie endogamiczne terytorium, zakłócają w oczywisty sposób istniejące status quo. Stąd bierze się ambiwalentny stosunek ludności osiadłej do wszelkiego typu migrantów – imigrantów, reemigrantów, uchodźców, a także czasowych przybyszów, którzy mogą na trwałe wpisać się w pejzaż grupy, która ma tendencję do traktowania samej siebie jako wspólnoty pokrewieństwa.*

Wojciech Józef Burszta, *Granice tożsamości, tożsamość granic*

### 10 czerwca 2002, Poznań, ul. Ostroroga

Umberto Eco w jednym ze swoich esejów pisał, że rzeczywiste doświadczanie emocji związanych z oglądaniem meczu piłkarskiego nie odbywa się w jego trakcie, ale tuż po jego zakończeniu, kiedy to żarliwi kibice zaczynają o nim rozmawiać. Z Wojtkiem było inaczej. Oglądając mecz w formule live, choć za pośrednictwem telewizji, Wojtek zmieniał się w futbolarzowego konesera, dodając z reguły, że za chwilę zniknie na czas trwania aktu meczowego jego antropologiczna wrażliwość zbalansowania własnego, kulturowego ja w stosunku do innych, czyli do drużyny przeciwnika.

Mundial, a w szczególności mecz Polska–Portugalia w koreańskim Jeonju, przeżyliśmy w samotnym duecie. Gdzieś poza nami czerwcowe słoneczne jezory wpełzały co chwilę przez uchylone okna, łącząc się z falującym powietrzem. Nasza ekscytacja przebiegiem spotkania dość szybko zaczęła opadać, zmieniając się w podziw dla teatru jednego aktora. Pedro Paulety. Wojtek po pierwszym trafieniu portugalskiego snajpera dość trafnie przewidywał kolejne. W efekcie Portugalczyk strzelił trzy bramki. Jedną dołożył Rui Costa, ustalając wynik na 4:0. „To jest wskazanie aktualnego miejsca polskiej piłki” – skonkludował Wojtek.

### Listopad 2009, Poznań, Pałac Działyńskich

Z niezachwianą pewnością był to poniedziałek. Jeden z wielu, w które z reguły widywaliśmy się na dyżurach w PAN, do którego Wojtek zaangażował mnie kilka lat wcześniej. Od dłuższego czasu rozmawialiśmy, w jaki sposób przełożyć antropologiczne doświadczenie zmieniającego się pogranicza na praktykę. Rozwiązanie przyniosła propozycja władz gorzowskiej Akademii Jakuba z Paradyża powołania kulturoznawstwa zorientowanego między innymi na coraz gęściej dziejące się procesy zróżnicowania kulturowego pogranicza.

W dziesiątkach seminariów, konferencji, dyskusji wyłaniał się często pogląd Wojtka o przyszłości pogranicza, który roboczo określał wielokulturowością wyspowa, przełamującą stereotyp powojennego i homogenicznego układu kulturowego nie tylko pogranicza polsko-niemieckiego, ale Polski, jako takiej. W jednym z artykułów pisał, że *konceptcja euroregionów – to jedna z dróg realizacji idei Wspólnej Europy. Aby ideał ten spełnić, nie ma innej drogi, jak rozwój nowych struktur, realizacja nowych pomysłów, nawet ryzykownych i nie rysujących się w sposób jasny. Inaczej pozostaje status quo. Euroregion stwarza szanse dla postnacjonalistycznej Europy regionalnej bez podważania identyfikacji narodowej* (W.J. Burszta, 2000).

Z czasem Jego obecność w Gorzowie, podobnie jak w innych miejscach, w których przyszło mu być, przybrała postać wieloaspektową. Nie tylko wykladał, przenosząc antropologiczną i czysto ludzką wrażliwość na studentów, ale wyszuki-

wał nowe pola działania. Jednym z takich przedsięwzięć była współpraca z Jazz Clubem „Pod Filarami” w Gorzowie, a pokłosiem między innymi wspólna z Andrzejem Białkowskim książka *Jedzie Pan Jazz. Edukacja jazzowa i popkulturowa w perspektywie antropologicznej* (2019).

### Sierpień 2021, Nowe Dzieduszyce

Okno. Banalne biele framug silnie kontrastują z zieleniami tuż za oknem pokoju. Tego samego, który zawsze zajmował Wojtek, goszcząc w miejscu, które Niemcy nazywali Massin Walde. Dziwnym trafem z reguły to właśnie tylko tu, o białych świtach, które w podobny sposób ceniliśmy, jak i pomiędzy i w trakcie pochłaniania załgłych odcinków *Świata według Kiepskich*, rozmawialiśmy o wspólnej książce, którą na roboczo tytułowaliśmy *Nacjonalizm. Infantylny pomruk nieprzetrawionego stanu naiwnego dzieciństwa*. Zabrakło czasu.

Wojtek pisał we *Wstępie* do mojej książki „Czytając Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza”: *Podróżowanie wynika z reguły z tęsknoty za różnicą, jest ucieczką od tożsamości, ale bywa jedynie potwierdzeniem, że tkwimy w miejscu, jakbyśmy nigdy nie opuszczali domu. Stąd zarówno podróżowanie, jak i pozostanie u siebie są analogicznymi strategiami ucieczki – jedni wybierają ruch; drudzy zbudną ciszę nomady. Taki jest, moim zdaniem, paradoks dzisiejszej antropologii. Staje się ona, niejako wbrew sobie, antropologią samotności i bardzo osobistej refleksji nad światem globalnego MY. Inną strategię radzenia sobie z dzisiejszym światem, strategię także wielce osobistą, wybrał w swojej bezpretensjonalnej książeczce Maciej Dudziak. Oto uruchamia on bowiem – przemieszczając się fizycznie po dalszych i bliższych „ogrodach pogranicza” – osobistą zdolność pamiętania i interpretacyjnego, choć jednocześnie jak najbardziej realnego w swej empirycznej dostojności, powrotu do ważnych dlań „miejsc pamięci”. Historia rodzinna spleta się tutaj z Historią, dzieje formacyjne z dziejami intymnymi, a próba spojrzenia na procesy – z refleksją nad „zaułkami i szczelinami”, dzięki którym historia przeistacza się w pamięć. Jak się okazuje – także pamięć ma naturę nomadyczną. Kontynent każdej indywidualnej przeszłości w dużej części wypełnia pamięć i, spontaniczna z natury, wiedza antropologiczna o tym, co było wcześniej, co przybrało inny, płynny kształt, albo – co uległo zapomnieniu, a czego ślady znajdziemy dzisiaj głównie w świadectwach literackich i osobistej ewokacji miejsc. „Ogrody pamięci” Macieja Dudziaka są wielce osobistej natury i takąż przyjmują literacką formę. Warto wyruszyć z Autorem w tę, niemającą przecież początku i końca, drogę pamięci. Jak wiemy bowiem świetnie, każda podróż odbywa się w terażniejszości, niezależnie od tego, do jak odległych w czasie zjawisk dociera.*

Wojtek w zasadzie był cały czas w drodze, tej intelektualnej i tej dopełniającej antropologiczne doświadczenie rzeczywistości. Niezwykła podróż, w której części miałem okazję uczestniczyć, pozwala mi stwierdzić: Wojtku, Augurze kulturowego zróżnicowania – miałem i mam zaszczyt Ciebie znać.

... a jesień w tym roku zaczęła rozsiadać się niespodziewanie już z początkiem sierpnia ustępującego w cichych człapaniach coraz głębiej w mysie nory i wykroty. ...

**Maciej J. Dudziak**



*Seminarium wyjazdowe Zakładu Badań Narodowościowych PAN w Witnicy w czerwcu 2005 r. W środku prof. Wojciech Józef Burszta, obok młodzi wtedy pracownicy naukowcy, a dziś to: z lewej strony prof. Joanna Nowak – IS PAN, z prawej dr Maciej Dudziak, prof. Katarzyna Wrześcińska – IS PAN i dr Renata Owadowska. Fot. Robert Piotrowski*

Prof. zw. dr hab. Wojciech Józef Burszta (ur. w 1957 w Poznaniu, zm. w 2021 r. w Milanówku), antropolog, kulturoznawca, eseista i krytyk kultury. Pracował w Katedrze Kulturoznawstwa Instytutu Nauk Humanistycznych SWPS, prezes Instytutu im. Oskara Kolberga. Do 2018 r. pracował także w Zakładzie Badań Narodowościowych Instytutu Slawistyki PAN w Warszawie. Do 2003 r. związany z Instytutem Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Członek Komitetu Nauk o Kulturze PAN, w tym w latach 2011-2015 jego przewodniczący. Naukowiec wizytujący na Uniwersytecie Oksfordzkim, École Pratique Des Hautes Études (Sorbona), Uniwersytecie Yale, Uniwersytecie Illinois. Stypendysta Fulbrighta i Fundacji Kościuszkowskiej.

Od 2000 r. związany z regionem lubuskim poprzez Centrum Badań Euroregionalnych Akademii Jakuba z Paradyża w Gorzowie oraz gorzowskim kulturoznawstwem. Współautor z Andrzejem Białkowskim książki o Jazz Clubie „Pod Filarami” w Gorzowie *Jedzie Pan Jazz. Edukacja jazzowa i popkulturowa w perspektywie antropologicznej* (2019).

Syn prof. dr. Józefa Burszty – etnografa i etnologa prowadzącego między innymi badania terenowe w okolicach Gorzowa.

**Maciej J. Dudziak** – antropolog, kulturoznawca i autor. W latach 1999-2021 współpracował z prof. W.J. Bursztą w Instytucie Etnologii i Antropologii Kultury UAM w Poznaniu, Zakładzie Badań Narodowościowych PAN w Poznaniu i Warszawie, jak również w Centrum Badań Euroregionalnych AJP w Gorzowie. Stypendysta między innymi Programu TEMPUS, Leonardo Da Vinci, Fundacji UAM oraz Erinnerung, Verantwortung und ZukunftStiftung.

## Roman Habdas

### WCZORAJ

czas przeszły, dokonany.

Było – nie ma. Zapomnieć. Nabrać wody w usta.  
Zgasić ogień. Oszczędzić oliwy. Wczoraj  
rzuciło na kolana, grajkowi w kapelusz.  
Dokręciło śrubę obowiązków, ujęło  
wiary. Wyskrobało życie.

Odnutowane, ot tak, polubieniem na fb, na odczep,  
tudzież dla wirtualnego zapewnienia, choć w temacie  
każdy swoje myśli. Jednak bez obaw, wczoraj,  
to nie bumerang i nie wróci. A jeśli, to tylko  
czkawką.

### DZISIAJ

może warto spojrzeć prawdzie w oczy.

Lustro nie kpi, a zmarszczki wpisane w każdy życiorys.  
Dlatego najbardziej zgrabnie zredagowane CV  
nie oszuka prawdy. Prędzej czy później i tak  
wyplynie człowiek przez małe bądź duże C.

Nadeszła pora by zdjąć ciemne okulary i grać  
w otwarte karty. Ugięty kark pomoże przełknąć  
przegraną. Wyjść na prostą za rękę z fair play  
i patrzeć prawdzie w oczy.

### JUTRO

jeśli będzie jak wczoraj, wyrzeźbi nowe.

Zawiąże układy, rozwiąże związki, wybrzmi,  
byle nie wiązanką przekleństw. Niech nie spluwa  
gdziekolwiek, oszczędzi walenia w mordy i bezsmaku  
ślinienia się, zwykle na czerwonym świetle.

Zazwyczaj nikt nie traci nadziei, że jutro zapuka.  
Ale nim wejdzie, wieczór zapisze kartkę punkt w punkt  
sprawami do załatwienia. Sprawdzi wpływy i rozchody,  
popłynie choćby przez chwilę na rozstaje  
mrzonek i marzeń.

Jutro, jak wczoraj i dzisiaj, zdaje się tak oczywiste,  
i trudno uwierzyć, iż może go zwyczajnie  
dla kogoś nie starczyć...

## Janina Jurgowiak

### OBRAZEK Z GORZOWA

Idziemy bulwarem wolniutko,  
noga za nogą, żeby dłużej.  
Wiemy: bulwar jest krótki jak życie,  
więc powoli.  
Smakujemy naszą bliskość,  
przysiadamy na ławce,  
choć nie czujemy zmęczenia,  
żeby dłużej, żeby jeszcze...  
Koniec – tu bulwar się kończy.  
Jest jeszcze ścieżka  
wygodna jak emerytura.  
Na końcu zakole skłania do powrotu,  
zatem wracamy.  
Inaczej jak w życiu,  
gdzie tylko w jedną stronę.

## Tomasz Walczak

\* \* \*

śmierć jest tak blisko nas  
przechodzi co chwilę obok  
dziwiąc się że nie reagujemy

bez strachu bez pośpiechu  
czekamy na następnego

może ostatni raz

tylko ona prawdziwa  
też jest kobietą

## Artur Wodarski

### SIEDEM MILIARDÓW NIESZCZĘŚĆ

dla świata nie jest ważne dokąd zierzamy  
nawet częściej włącza nam zielone światło  
żebyśmy mogli dotrzeć do miejsc przeznaczenia

dla świata istotne są tylko drobiazgi  
takie jak wschód słońca nad oceanem  
zieloność trawy wiosną  
albo opadanie pozółkłych liści jesienią

nie ma znaczenia ilość narodzin ani zgonów  
to tylko proch z którego składa się ziemia

ziemia nie potrzebuje ludzi  
siedem miliardów gotowych by codziennie ją zniszczyć  
to zbyt wiele jak na tak małą planetę  
dlatego świat co jakiś czas włącza czerwone światło  
i zdumiony obserwuje jak nikogo to nie obchodzi

**Artur Wodarski****MATEMATYCZNE WŁAŚCIWOŚCI WIERSZA  
/WYKŁAD PIERWSZY/**

proszę państwa zacznijmy od tego że wiersz zdarza się tylko raz na jakiś czas a to znaczy po prostu rzadko. możemy bardzo się starać ale nie wymyślimy nic lepszego od wiersza: on uniesie nas w inne światy zaciągnie w nieznanne miejsca a wszystko za pomocą kilku wersów. lecz niewielu / a mam na myśli najwyżej jeden promil społeczeństwa / ma szansę nadać słowom taki kształt by krzyknąć: wynalazłem koło! / zresztą niech ktoś powie: co gorszego jest w kwadracie czy rombie? / nieważne. ciągle jesteśmy przy wierszu który zdarza się niezwykle rzadko. niedawno przeszukiwałem archiwa sprzed ostatnich czterdziestu lat i nie odnalazłem ich zbyt wiele bo wiersz proszę pań i panów musi mieć jaja / proszę nie odczytywać tego dosłownie / i jako taki powinien zachwycać a jeśli czytelnik / czytelniku! czy słyszysz? / nie wzruszy się i nie poczuje że niebo spadło mu na głowę oznaczać będzie że wiersz lub raczej jego imitacja nie będzie miał nic wspólnego z poezją / mocne słowa! / co należało udowodnić

tak sobie teraz myślę że jeden promil społeczeństwa to prawie sześć i pół miliona potencjalnych poetów. wybaczenie ale boję się tego co może mnie spotkać podczas czytania. miejmy nadzieję że akurat w tym wypadku matematyka się myli

**Krystyna Woźniak****PRZEPOWIEDNIA**

*Pamięci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego*

niebo pękało sierpniem, słońce wpadło do Wisły.  
powiedzieli, że już nie mam ciebie.  
nie dotknę twoich włosów, nie opowiem o lękach.  
moje dłonie skamieniały,  
twarz mapą zmarszczek.  
każdej nocy proszę Najświętszą aby nauczyła  
jak obłaskawić żalność.  
dzisiejszym przedświtem przyszedłeś,  
obok stała Kamilka.  
nie płacz mammo – powiedziałaś, nie płacz.  
bo każda Twoja łza kamieniem.

**LOKUM**

Marek skręca nerwowo papierosa,  
od roku mieszka pod Schodami Donikąd,  
na drewnianym taborecie kubek z fusami  
po czymś nieokreślonym.  
W jego poprzednim lokum zamurowali okna i drzwi.  
Udało mu się czmychnąć,  
miał jeszcze żonę zabrała ją śmierć.  
O pracy nie myśli, nikt go nie przyjmie,  
za mocno śmierdzi.  
W koczowisku jest jeszcze Felcia,  
pod starą kołdrą ma swój świat.  
Spuchnięte nogi nie pozwalają chodzić.  
Kiedy opowiada o córce uśmiecha się  
Kiedyś była piękną kobietą.

**Tomasz Korbanek****ZA KWADRANS  
SIÓDMA**

Odpadam tapetą od ściany,  
naciagam kołdrę, stopując budzik,  
wachlarzem palców  
otrząsam z powiek motyle snu.  
Na stole czeka  
kubek z fusami, wena żółknąca  
liściem paproci.  
Ściskam długopis, kalecząc  
gładką strukturę kartki.  
Rzeki na szybach  
formują z wersów porządek dnia,  
rytmem banałów  
wciągają w schemat.

**ORNITOFOBIA**

Drażni go klangor  
w gęstwinie chmur,  
cień lądujący  
późnym wieczorem  
na drążku trzepaka.  
Zaglądam w kręgi  
brunatnych ślepi  
przechowujących  
dzioby i szpony  
skrzydlatych bogów  
łamiących karki  
wścibskim szczeniętom,  
mój pies  
najzwyczajniej  
(to takie ludzkie)  
boi się ptaków.

**W POŁOWIE TRASY**

Nie zmienisz tablicy  
z rozkładem jazdy, nie uruchomisz  
zepsutej kolejki, plastikiem  
makiety dworców, wagony pełne  
pobożnych życzeń; zostaje ci czas  
– dyżurny ruch z lizakiem w dłoni  
i fragment torów  
schowanych w plecaku  
na wszelki wypadek,  
na jeszcze jedną  
godzinę snu w poczekalni.  
Odjedziesz stąd sam.

**Irena Zielińska****TYLE MAM  
W SOBIE**

Mam –  
tę smutną  
koczowniczość wzroku  
wciąż nienasyconą  
przelotny fragment  
osiadłej całości

Mam –  
tyle przestrzeni  
niezdobytej  
nieprześlonej  
że nogom drogom  
udziela się  
jej zgubny kierunek

Wbiła się we mnie  
magnetyczna  
igła drogowskazów  
boli  
ten trzepot serca  
w uszczelnieniu jaskiń

A przecież  
tyle jeszcze jest ogromu  
a w tym ogromie  
tyle –  
własnej małości



### ZAPISKI W STRONĘ JESIENI

#### Chwila w Polsce

Jest ciężka chwila, decydująca, która wymaga postawy wielkiej odpowiedzialności od każdego z nas. Zwłaszcza od tych, których działa-

nia, słowa i zachowania mogą mieć wpływ na sytuację także w Europie. Tak się wydaje, że w tej chwili potrzebna jest jedność, że tę oczywistość należy brać poważnie pod uwagę, ale w polityce aż wre, cóż za popisy elokwencji i jakieś dziwaczne postępowanie. Okropne to. Szkodnictwo. Ktoś przecina drut kolczasty, ktoś inny biega jak zwariowany i wymachuje foliową torbą. Kamery rejestrują wyczyny. Brakuje tylko iskry, by wzniecił się pożar. Poważna sytuacja, a czyny i wypowiedzi pewnych-niepewnych osób haniebnie. Nie ma to nic wspólnego z troską o Polskę. Boję się myśleć o celu prowokacji z hybrydowymi „uchodźcami” na granicy z Białorusią. Jakaś nadzieja, ale ciągle słaba, tylko w tym, że ciężkie, kryzysowe chwile też kiedyś miną.

#### B. K.

Poetka lokalna B. K., której marzy się znaleźć na świeczniku literackim, ni stad, ni zowąd, na Facebooku katolików bezceremonialnie nazwała w swoim wpisie „katolami”. Paskudne to. Świadczy to o czym? Nie udaje się jej jednak wejść odpowiednio wysoko w literaturze, więc uderza wulgarnie. Prostaczo. Może zwróci na nią uwagę jacyś ważni. Miało być oryginalnie, a jest fatalnie. Postanowiła więc odreagować i odezwała się „postępowo”, zgodnie w duchem czasu.

#### Deszcz

Od rana szary, ciemny, pochmurny dzień, chmury ciężkie, pola zaciągnięte sino, pada rześście, istna ulewa, w domu chłodno, pod koniec sierpnia, właśnie, gdzie podziało się światło i ciepło sierpniowe i ścierniska złote, żaden znikąd motyw, by oddawać się poezji.

#### Krowy

Krowy na łące, nad stawem. Mimo złej aury cechuje je spokój i cierpliwość. Gdyby mogły, to pewnie by mi współczuły, że targają mną różne niepokoje.

#### Ostróżeczka polna, lecznicza

Piękna, polna i lubiąca nieużytki oraz bezdroża, kwitnąca ostróżka. Kwiatami drobnymi, bladoniebieskimi zwraca moją uwagę. Ona nie kłopotczy się niczym. Zgaśnie jesienią, a wiosną znowu wzrośnie. Niczego nie uczyni w żadnej, np. mojej ludzkiej sprawie. Taki jej roślinny obyczaj. Trochę żal.

#### Owoce wysypują się

Owoców i warzyw na targowiskowych stołach dostatek, piękna obfitość, ale ceny są wysokie, mimo że jest właśnie czas ich dojrzewania i zbiorów, a więc i pewnego nadmiaru. Jesienią, zimą, wiosną będzie jeszcze drożej. Ale cóż to za problem. Byleby coś gorszego nie miało się wydarzyć. Różni prowokatorzy już są w akcji. Krzyczą, manipulują. Wolę więc myśleć o owocach, o deszczu, polach zasnuwanych mgłą. Pozbierałem

z ziemi gruszki i jabłka, niektóre dziobnięte przez ptaki i nadpsute. Jednak umyję je i zrobię powidła, które tylko łyżką jeść, smakować niczym sztucznym niedoprawione.

#### Dzwon

Odezwał się o swej porze mocny, wieczorny ton kościelnego dzwonu, poczułem nadzwyczajność ciężkiej jego melodii. Tak było w dzieciństwie w Jaromierzu. Nad łąkami rozlegał się dzwon. Wtedy słuchałem i dzisiaj podobnie. Przystałem rąbać klocki sosnowe do kuchennego pieca, usiadłem na pieńku. Dostojeństwo i powaga. I tajemnica każdej chwili, trwania świata, losu człowieka. Dzwon brzmi z wieży na całą okolicę. Przypomina o ostateczności, ale nie wyjaśnia spraw życia i śmierci. Tylko je przedkłada jakby do bardzo indywidualnego rozważania, nam ludziom, każdemu z osobna. Czyli i mnie siedzącemu na akacyjowym pieńku.

#### Wysłuchałem

Wysłuchałem rano w radiu relacji Afgańczyka, który opowiadał, jak wydostawał się z piekła chaosu, lęku, braku nadziei, pośród odgłosów strzelaniny, w wielkim ścisku, jak był ewakuowany z Kabulu. A ta opowieść to tylko cząstka prawdy o tym, co tam się działo. W tle zobaczyłem odwagę, szlachetność i determinację polskich żołnierzy, którzy nieśli, mimo ogromnego ryzyka, pomoc i ratunek. Poczułem pieczenie w oczach.

#### Ania

Ania przysłała mi kilka dni temu dużą porcję ładnych zdjęć z wycieczki do Italii. Wszystkie doznania i zobaczone obrazy wycisnęły na niej piętno. Jak każda niezwykłość. Byłem kiedyś, dość dawno, tam gdzie i ona – patrzyłem, zatrzymywałem się, jadłem, piłem, słyszałem głosy. Przypominałem sobie te różne miejsca. Ulice Rzymu, Florencji, fontanny, katedry, winnice, gaje oliwne, kamienie na Placu Świętego Piotra. Inny to świat kultury, z którego natchnień urosła Europa, teraz rozrywana na wszelkie sposoby, bez opamiętania. A dzisiejszej nocy Ania przyśniła mi się tak jak nigdy wcześniej.

#### Piasek

Całe popołudnie przerzucałem piasek i kamienie. Na nowe miejsce. Chwilami pracowałem, szły chmury, więc musiałem często uciekać do domu z powodu nagłego deszczu. I nic więcej sensownego już dzisiaj nie wymyślę.

#### Kawa

Zaparzyłem kawę w filiżance, której wielokątna ceramika różami pomalowana. Czekam, aż fusy opadną na dno. I kawa lekko ostygnie.

#### Kartka

Biorę nową kartkę, bo jeszcze jakieś zapiski chodzą mi po wieczornej głowie, ale już wystarczy. Jest ciemno, wilgotno, lepi się błoto do trzewików, na dworze prawie nie ma żadnego wiatru.



## KORONKOWE KSIĘŻNICZKI

*Koronka igłowa na płótnie z elementami ceramicznymi od Anny Szymanek*

Delikatne stoimy, tańczymy  
Twarzyczki z porcelany  
W białych koronkowych sukienkach  
Takie z nas cudne księżniczki  
Nie dotykaj, podziwiaj  
Delikatne patrzymy, czekamy



## PANNY MAŁE I DUŻE

*Gobelin ze sznurka lnianego z elementami ceramicznymi od Anny Szymanek.  
Praca inspirowana twórczością Anny Szymanek*

W dwóch trwają rzędach  
Niby razem a jednak osobno  
Małe przed dużymi  
Duże otaczają subtelną troską  
Nie zabierają wolności



## PEŁNA TAJEMNIC

*Gobelin ze sznurka lnianego z elementami ceramicznymi od Anny Szymanek.  
Praca inspirowana twórczością Anny Szymanek*

Nad czym zadumana  
W złotej aureoli  
Czy jeszcze gotowa na nowe  
Czy już tylko wspomina?



## POWIĘKSZENIE

*Malowany kamień od Beaty Patrycji Klary z motywem powiększonym na filcu, naszyte na płótnie*

Jesienny szpaler drzew  
Wyrósł niby porost na kamieniu  
Fraktalny wir natury  
Powiększył go, podwoił  
Dla towarzystwa, dla opieki  
Dla jeszcze większego zachwyty



## NOC GWIAZDZISTA NADE MNĄ

*Gobelin tkany z roślin*

Noc pachnie gwiazdami  
Jesienną ulgą po upale lata  
Otwartym szeroko oknem  
Niebo wchodzi do domu  
Nocy, nie zanikaj



## POLAMI, MIEDZAMI...

*Gobelin tkany z roślin*

A ja wejdę w te łąny pachnące  
Zabłądę chętnie  
Zaśpiewam głośno  
Polami, miedzami powędruję  
Nie zmęczone się w zachwycie  
Może was tam spotkam

## TRZYNASTEGO W PIĄTEK

Wróciłem z kładki, odłożyłem spławikówkę, włączyłem radio. W koncercie życzeń, który właśnie trwa, „ktosik” zamawia stareńką, a lubianą i przeze mnie piosenkę Sławy Przybylskiej, z refrenem: *Wspomnij mnie, może zadrży serce twe, więcej nie chcę nic...* W międzyczasie do kubka wysypuję pół łyżeczki kawy rozpuszczalnej i jedną mielonej znanej firmy, która do Polski eksportuje ponoć gorszą jej jakość, oraz odrobinę mielonej o smaku waniliowym. Ta trafia co jakiś czas do zięcia w paczce od chrzestnej z Kanady. Później pół kilo ziarenek otrzymuje teściowa i teść. Ooo! Czajnik już gwizdże! Zalewam, co trzeba, i tak przygotowany siadam przed laptopem. Zaczynam pisanie pierwszego felietonu do „Pegaza Lubuskiego”, a właściwie... to już go piszę.

Radio Zachód, którego słucham, w przerwie koncertowej ma tzw. antenowe wejścia na żywo. Redaktorzy, a jest ich dwóch, przepytują relaksujących się nad Jeziorem Lubikowskim plażowiczów. Pytanie brzmi: – *Czy są przesądni?* Dzieje się to 13 sierpnia, w piątek. A jak wiadomo z biesiadnej piosenki, to: *Trzynastego maja w piątek, urodziła sześć kociątek, trzeba kupić sześć kobysek, sześć par butów i sześć misek.* Z tymi butami dla kociąt to zdaje mi się, że chodzi o miot, którego sprawcą musiał być niejaki... Kot w butach.

Jestem w moim legendarnym *Windsorze*, czyli wędkarskiej stacji nad Zalewem Bledzewskim. Pod konarami sosen, przy nadlatujących raz po raz komarach, snują cienki makaron przemyśleń. Przesądny z powodu 13., owej nieszczęsnej cyfry, nie jestem. Dawno temu wyleczyłem się z czarnych kotów, napotkanych zakonnic, przechodzenia pod drabiną i Bóg raczy wiedzieć, z jakich jeszcze zabobonów. Ale sny, których mam aż nadto, są częstym powodem zadumy. Niekiedy wystarczy mi chwila drzemki, aby zakwitło w niej śnienie długości haiku. Nocami, czując ciepło zaobrączkowanej, trafiam południowe, egzotyczne okazy ryb. Na jawie... krąpie i jazgarze. Ale przed trzydziestu laty późnym wrześnie, w nocy przed wyjazdem na spinningowe mistrzostwa Polski, sen podarował mi sztukę, że ho, ho! I chcąc czy nie, owe mistrzostwa wygrałem, łowiąc największe drapieżniki zawodów, w tym życiowego bolenia i szczupaka. Bardziej zazdrośni powtarzali wtedy po krzakach utarty slogan o... głupim i szczęściu. I może coś prawdy w tym było.

Na tym jednym śnie końca żyłki jeszcze nie widzę i kręcę temat dalej. Oprócz trzymania wędziska udaje mi się po zaśnięciu wojażować po świecie. W rzeczywistości, patrząc tylko w ekran tv. Tym niemniej wiałem przez afrykańską sawannę ile sił przed nosorożcem, a nogi miałem ciężkie niczym ołów. Jakiś czas później płynąłem rybackim małym kutrem po południowoamerykańskiej rzeczulce, toczącej wody przez argentyńską pampę, a obłe, drewniane burty ocierały się z dwóch stron o porośnięty trzcinami brzeg. Ostatniej zimy szybowałem z wieży Eiffla w Paryżu, a na wiosnę, po czterdziestu trzech latach wyjścia z kamaszy, spotkałem w Melbourne Żygusia, kucharza z wojska. Jednak największe wrażenie zrobiła na mnie, ładnych parę lat temu, biała niedźwiedzica z małym misiaczkiem. Płynęli wprost na mnie stojącego na kładce, od strony wyspy, po ulubionym Zalewie Bledzewskim.

Nawijając to i owo, przyszła mi do głowy Łucja Fice, gorzowska literatka (oj, jak lubię jako kelner zawodowiec owo określenie: literatka), przywołująca sny w swoich powieściach. Jestem pewien, że miałyby wiele wytłumaczeń dla moich ukrytych pod zamkniętymi powiekami obrazów. Ale po co mi one? Żyję realiami. Finiszując, dodam, że kilka lat temu roztropny spowiednik, mój imiennik, powiedział do mnie, że poeta może wyobrażać sobie więcej nawet poza snem i niekoniecznie traktować trącone erotyzmem wyobrażenia jako grzech. I to mi leży. A białych niedźwiadków, jak na razie, opodal *Windsoru* się nie spodziewam, choć przy miniplaży raz po raz pojawiają się w okresie lata zgrabne, minilistkami okryte, foczki. I wtedy urasta, nie tylko wyobraźnia...

Jerzy Hajduga

## JESIEŃ ZACZEPNA

od pierwszej gałęzi  
czerwieni się  
w liściach

coraz dłuższe wieczory  
mylą mnie  
przez sen

jak tu wymknąć się  
jesieni liście  
potrafią

W POKOJU LEŚNYCH  
PRZECHADZEK

komary muchy i meszki  
wpadają do nosa uszu  
a nawet pod powieki

czytam w internecie lipiec  
teraz jest ich czas

pszczoły osy bąki grono  
już pokażne

strzyżak woli zwierzęta  
ale ludźmi też  
nie gardzi

najlepiej jednak czuje się  
ze mną winniczek

podczas leśnych przechadzek  
w pokoju cały dzień zdąża  
do drugiego  
kąta

przecieram oczy  
uciekają komary  
muchy i meszki

winniczek udaje  
że nie jest  
ślimakiem

zabiera mnie  
do ogrodu  
na spacer

## Magda Turska

## HASZ

– Wiesz, jak już będę potrafiła, to napiszę książkę. Teraz nie jestem jeszcze gotowa. Nie mam pomysłu. Nie umiem. Będę pisarką. Będę się z tego utrzymywać. Zdobędę jakąś nagrodę. Zobaczysz. Potem będę jeździć i opisywać podróże. Polecę na Ibizę. Potażę w Café del Mar.

Daj macha.

Opiszę tę Ibizę. Że niby pływam na jachcie i nic nie robię, tylko patrzę w błękit. Fajny pomysł, nie? No, może czasami kąpię się w morzu. Pływam na tym jachcie, jem ryby, jestem wstrętnie bogata, ale mi się nie nudzi jak bogaczom. Bo pamiętam swoją przeszłość. Na nic nie miałam keszu.

Co ty? Już trzecią wciągasz. Oszalałeś?

Będę na tym jachcie, białym takim, z chromowanymi relingami, i nie będę miała zmartwień. No, może tylko będę się martwić, że mi skóra schodzi, bo za bardzo się opaliłam. Ale ogólnie to będę superopaloną. Na tym jachcie będę pisać. Pooglądam sobie zachody słońca. Sama będę na tym jachcie. Nie wezmę cię, bo oszukujesz. Joint to joint – razem go palimy, a ty już nie wiem którą chmurę beze mnie.

Nie chce ci się jeść? Chodź, zamówimy pizzę. Ja wybieram. Nie będę wciąż jadła tej pepperoni. Weźmy cztery sery. Jest naprawdę dobra. Z „Domino”, okej?

Z Ibizy popłynę na Minorę.

Chciałbyś popłynąć na Minorę? Wezmę cię, jeśli dasz mi macha. Oszust z ciebie, no!

Nie ma Minorę.

Będiesz tu siedział i palił blanty, a ja zdobędę nagrodę za książkę o Balearach.

Poznam nowych ludzi i nie będę przypalać tego świństwa, bo teraz palę tylko dlatego, że ty jesteś taki nudny. Na niczym ci nie zależy. Nawet marzeń nie masz. I jeszcze oszukujesz z jazzem. W końcu kupiliśmy na spółę. Co z tego, że ci teraz mówię, co będę robić, jak ty i tak nie masz o tym pojęcia? Upaliłeś się, że się tak głupio śmiejesz? Ja ci poważne rzeczy mówię. Mam plan na życie, a ty co? Cały czas będziesz się bujał?

Jak już zostanę sławną pisarką, to nawet autografu ci nie dam. Nic. Możesz zapomnieć!

W Café del Mar to musi być fajnie, nie?

Muza fajna to i miejsce fajne. Ale „Volumen 5” najlepsza. „Bombay” mnie rozkłada. Całość ogień.

Weź no puść, co? Ile można słuchać bluesa?

Kręci mnie pisanie. Kręci, ale jeszcze nic nie napisałam. Wypracowania tylko i rozprawki. Chociaż nawet nie wiem, co to rozprawka.

Nie chciałbyś być pisarzem? Jak na przykład Hemingway? Napisałbyś taki „Komu bije dzwon”.

Fajnie, co nie?

Moja kolej – znowu oszukujesz!

Lubię wciągać chmurę. Taki dobry smak na podniebieniu. Słodkawy.

Ale jesteś spalony! Takie małe oczka i głupi uśmiech. I co się tak patrzysz? Tylko przypadkiem się ze mną nie śmiej.

A jaką chciałbyś zdobyć nagrodę, gdybyś był pisarzem? Nobla czy Bookera?

Nie ryj się!

Kretyn!

Na tym jachcie to będę jadła owoce morza. Ośmiornice i krewetki. Rybę zjem. Taką niespotykaną. Tamtejszą. Co to tutaj nigdzie nie znajdziesz. Super.

Gdzie ta pizza? Dzisiaj jemy na połowę. Nie, że ty więcej.

Wiesz, o czym jeszcze napiszę?

O rybaku, co łowi na wędkę. Stoi w morzu i łowi. Ma brodę. Trochę grubawy. Taki, wiesz, Hun trochę. I jak tam stoi, to obserwuje dno. Takie piaszczyste, gdzie pełno kolorowych rybek. Między nogami mu przepływają. Jedna zaczęła skubać go w tyłkę.

Albo nie!

Napiszę ogólnie o rybach. O świecie podwodnym.

Dawaj macha!

Barrakudy i mureny. Jeżowce na skałkach. Żabnice. Wargacze. Ślizgi, strzępiele, kabryle, graniki, barweny, oblady. Cały słownik sobie pływa. Będę nurkować. Ale nie jak w „Wielkim błękitcie” głęboko, tylko przy plaży. To chyba snorkeling się nazywa. A wieczorami przy zachodzie słońca usiądę z laptopem na kolanach i opiszę cały dzień. Wcale nie będę słuchać muzyki, bo wystarczy mi szum bryzy albo wsłuchiwanie się we flautę.

Dataś napiwek? Dobra, nie? Myślisz, że to prawdziwa gorgonzola?

Cały czas będzie ciepło. Nie że gorąco, bo pojedę wczesną jesienią. Nie, wiosną pojedę i spędzę na tym jachcie pół roku.

Czujesz? Pół roku! Pół roku bez ciebie i twojego zżarłego uśmiešku cwaniaka!

Wrócę z książką, o którą będą były się wydawnictwa. I dostanę nagrodę. Pełno spotkań autorskich, autografy, miłe słowa od czytelników.

Co ty mówisz? Jak to wypaliliśmy? Ty sam spaliłeś! Ja tylko kilka chmur.

A słuchaj, czy ty w ogóle myślisz, że ja mogłabym zostać dobrą pisarką? Ładnie chociaż opowiadać? Życie przedstawiam?

Ty! A może reportaż?

Porozmawiam z tym rybakiem. Zapytam, jak mu się łąwi i w ogóle, jak to jest, gdy się mieszka na wyspie. Cały rok. Czy zimą też wędkuje? Może ma żonę, która się wkurza, że tyle czasu spędza nad morzem? Na pewno sprzedaje ryby do restauracji. Albo czeka, aż ktoś przyjdzie na wybrzeże i kupi wprost od niego? A o czym rozmawia z kupującymi? Przecież oczywiście, że nie tylko o pogodzie. Czy to turyści, czy miejscowi? Przecież, jestem przekonana, że ma znajomych, którzy lubią jeść ryby, a on im je sprzedaje w okazyjnej cenie. Takie świeże, wprost z wody. Jakiej używa przynęty? Wędkarstwo morskie chyba jest inne niż takie jeziorne, no nie? Czy czasami łąwi z łódki? A może ma jacht? A może to w ogóle zechciałby wejść na mój i trochę sobie powędkować? I może mogłabym też spróbować? Fajne to chociaż takie łąwienie?

Chciałabym, żeby opowiedział jak najwięcej. Mógłby też wspomnieć o swojej młodości. Czy zawsze był wędkarzem? A może wcale nie jest wyspiarzem, ale przeniósł się tutaj z wielkiego miasta, na przykład z Barcelony, bo postanowił wieść życie prostego rybaka? Może był zastępcą kierownika w dziale controllingu wielkiej firmy, produkującej podzespoły do pociągów dalekobieżnych? Lub odziedziczył willę na Ibizie i wynajmuje ją turystom? Jakie miał marzenia? Może chciałby mieszkać w małej chacie w Alpach Retyckich i przyjmować znajomych prosto z Barcelony, gdzie był prawie kierownikiem? A może wreszcie wędkowania nauczył go ojciec i tak łąwi od dzieciństwa, utrzymując się z ryb?

Na pewno poszła cała kostka? Nie masz gdzie skitranej?

Jak już będę pisać ten reportaż o wędkarzu, to jeszcze go zapytam, czy jest duże zainteresowanie rybami. Chociaż to głupie



dok. ze str. 15

pytanie. Na wyspach wszyscy jedzą ryby. Bo co tam w końcu jeść? On będzie ze mną na moim białym jachcie, będziemy rozmawiać godzinami, a ty będziesz tu leżał w łóżku i przypalał z nudów. Ja przestanę, bo wcale nie muszę. No i potem te nagrody. Stanę przy pulpicie, wygłoszę mowę, wszyscy będą gratulować. Nie opędę się od dziennikarzy. Wywiad za wywiadem. Splendor. Sława. Oczekiwania i uznanie. O tobie zupełnie zapomnę. Taki nudny jesteś. Tylko palenie ci w głowie. Ja mam cel przynajmniej. Zostanę pisarką. Pozwiedzam świat. Wszędzie będę jeździć z notesem i robić notatki z podróży. I wracać co jakiś czas na swój jacht na Ibizie, żeby pogadać z rybakiem, który się urwał z korporacji albo

od urodzenia mieszkał na wyspie, a ojciec nauczył go łowić obłady. Niczego nie będzie mi brakować. Niczego. Ani kasy, ani ludzi, ani przygód. A najbardziej nie będzie mi brakować ciebie, bo nic nie masz w tej głowie oprócz chmury.

Słońce, woda, ciepło i przyjemnie.

Takie będzie moje życie.

Myślisz, że to dobry pomysł na książkę, czy się spaliłam i gadam bez sensu?

– No, nie wiem. Do rzeczy mówisz.

## Janusz Włodarczyk

### DAWNO TEMU...

*Stawaj bez strachu w obliczu wroga. Bądź dzielny i prawy, by Bóg mógł cię kochać. Mów zawsze prawdę, choćbyś miał ją przyplacić życiem. Stój na straży bezbronnych. To twoje ślubowanie...*

#### Cz. I. Harry

– Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedzioma dolinami, za siedzioma rzekami mieszkał... Nie. Nie. Ta historia miała zupełnie inny początek.

Tu przerwałem i spojrzałem na mojego rozmówcę. Dosiadł się do mnie, gdy popijałem miód w najbardziej skrytym przed oczyma ludzkimi zakątku karczmy. Lubilem tam przesiadywać, sącząc ulubionego trójniaczka, z dala od ludzi i wścibskiej gawiedzi, żadnej tylko jednego. Dowiedzieć się prawdy o legendarnym McGrafie, którego giermkim byłem aż do ostatniego jego tchnienia. Krążyły o nim pieśni sławiące jego czyny i legendy o waleczności i odwadze. Wędrowni bazarze powtarzali coraz to bardziej wydumane historie. Jaki naprawdę był McGraf, wiedziałem tylko ja i pewna mroczna postać. Cała reszta niewarta była funta klaków. Lecz moich słuchaczy nie interesowała prawda, oni chcieli sensacji i... dostawali ją. A ja miałem dzięki temu hojnych fundatorów sutych kolacji, okraszonych wyśmienitymi trunkami. Nie gardziłem też datkami, jakimi mnie obdarzano w zamian za moją obecność, która uświetniała najprzeróżniejsze uczy wydawane przez dwory książęce. Nie, nie powiem, że byłem bezinteresowny, opowiadając im te wydumane historie. Żyłem z tego. Lecz osobnik, który siedział przede mną, zaintrygował mnie. Dosiadł się z kielichem wypełnionym znanym napojem koloru bursztynu. Usiadł tyłem do drzwi, otulony czarnym płaszczem, z głową skrytą pod kapturem, spod którego widać było tylko zimne, bez wyrazu oczy w kolorze stali. Wiało od niego dziwnym chłodem. Wyciągnięta w moim kierunku przerażająco chuda dłoń osłonięta była czarną rękawiczką, skrzącą się blaskiem drobnych diamentów tworzących literę S. Świadczyła ona o wysokiej pozycji społecznej słuchacza. Słuchacza, którego nie można było zlekceważyć. Położył przede mną chustkę z wyhaftowaną złotą nicią literą D.

– Co mi opowiesz o tym spłachetku, dobry człowieku? – Głos miał zimny, a pytanie zadał tonem nieznośnym sprzeciwu. – Tylko nie opowiadaj mi bzdur, dla własnego dobra.

Nie powiem, żeby nie zrobił na mnie wrażenia. A najbardziej zaskoczył mnie widok chustki, którą mi pokazał. Oj, pamiętałem ją doskonale. Jeśli on ją posiada, to nie było sensu zmyślać. Chciał poznać historię tego kawałka jedwabiu? Jego wola.

– Zaczniemy więc, Panie, od bohatera tej historii. Nie jest to postać zbyt znana z oficjalnych dziejów Albionu. To prosty rycerz, dla którego honor i obyczaj rycerski były zawsze na pierwszym miejscu. Zwał się Harry McGraf. Był najmłodszym synem uboższego szlachcica i dlatego musiał opuścić rodzinne gniazdo. Na nędznej szkapinie przybył na dwór sir Williama Stanleya i rozpoczął służbę jako ciura obozowy. Ponieważ był pracowity i sumienny, szybko zaczął się wyróżniać wśród służby, co zostało docenione przez Geralda McGregora, jednego z rycerzy wchodzących w skład drużyny seniora. Pewnego dnia rycerz uznał, iż zastąpi on godnie giermka, którego poprzedniego wieczoru przegrał w kości z innym rycerzem. Dla Harrego był to okres ciężkiej pracy. McGregor miał bzika na punkcie swej zbroi i ubioru. Większość czasu schodziła giermkowi na czyszczeniu i polerowaniu jej na wysoki połysk oraz praniu jego szat. W zasadzie w tym czasie jedyną korzyścią dla giermka był fakt, iż nauczył się czytać i pisać. Stało się to dzięki zakonnikowi, który postanowił nauczyć chłopca tej sztuki. A pamiętać trzeba, że w ówczesnych czasach była to umiejętność niezbyt powszechna nawet wśród zamożnej szlachty. W wolnych chwilach nasz giermek rozczytywał się w historiach opisujących chwalebne żywoty najznamienitszych rycerzy. Wraz z innymi giermkami ćwiczył również sztukę posługiwania się orężem. Miał do tego smykałkę i czynił duże postępy. Wkrótce doszedł do wprawy i niewielu potrafiło mu dorównać w walce konnej, jak i na ubitej ziemi. Marzył o wielkich czynach i damie swojego serca. W końcu część jego marzeń stała się realna. I tu zaczyna się tak naprawdę cała ta historia. W czasie wojny Dwóch Róż sir William Stanley wraz z całym swym rycerstwem (a więc również z McGregorem i jego giermkim Harrym) stanął u boku króla Ryszarda III na polu bitwy pod Bosworth. To była pamiętna bitwa. W momencie, kiedy szala zwycięstwa przechylała się na stronę Henryka Tudora, sir William zniemacka zaatakował oddział prawowitego władcy, opowiadając się w ten sposób po stronie jego przeciwników. McGregor z giermkim stali na wzgórzu w odwodzie, obserwując pole bitwy w oczekiwaniu na rozkaz do boju. Wtedy zobaczyli ostatnie chwile życia młodego króla Ryszarda III. Otoczony przez przeważające siły nieprzyjaciela, padł przeszyty kilkoma ciosami mieczy. Z otaczającej to zdarzenie ciżby odłączył się rycerz w czarnej zbroi na precudnej urodzie rumaku i jak burza ruszył w kierunku wzgórza. Gerald opuścił kopię. Wbił

ostrogami w bok konia i ruszył galopem w kierunku przeciwnika. Zaraz za nim ruszył również Harry. Jednak nie było rycerzowi dane osiągnąć przeciwnika swoją kopią. Tuż przed czarnym rycerzem noga rumaka rycerza wpadła w wykrot i jeździec spadł, skręcając sobie przy tym kark. Giermek zeskoczył z konia i pochylił się nad swym panem. Czarny rycerz, nie zatrzymując się, przegalopował obok niego, mało go nie zabijając. W tym momencie Harry ujrzał jego oblicze. To była twarz niewiasty. Harrego zamurowało. Nigdy jeszcze nie widział tak pięknej kobiety. Białą, alabastrową twarz otaczały falujące pukle lśniących, kruczoczarnych włosów. Ciemne jak węgiel tęczówki oczu przystaniały długie rzęsy pod wygiętymi delikatnymi brwiami. Subtelne, drobne usta odcinały się intensywną czerwienią od reszty oblicza. Mijając go, kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając śliczne, białe jak perły zęby. Harry miał wrażenie, że oto uśmiecha się do niego anioł, który obiecuje mu raj. Kobieta podniosła do góry rękę, jakby pozdrawiając go i wtedy podmuch wiatru wyszarpnął z jej rękawa czarną jedwabną chustkę. Harry podbiegł i podniósł zgubę. Pomyślał, że jest to znak zesłany z niebios. Z czcią ją ucałował i zobaczył w jej rogu wyhaftowaną złotą nicią literę D. Tymczasem tajemnicza dama zniknęła w obłoku kurzu, spowodowanym jej przejazdem. Ot i cała historia tej chustki. No i tu, drogi słuchaczku, może warto by było skończyć tę historię. Kandydat na rycerza nareszcie na własne oczy zobaczył swą damę serca, tajemniczą piękność, o której nie wiedział nic. Znalazł sobie wreszcie cel w życiu wart jego poświęcenia. Najczystsza platoniczną miłość. Jedynym jego pragnieniem stało się odnalezienie wybranki jego czystego serca i ofiarowanie swojego życia. Tak jak to pisało w księgach, którymi się zaczytywał po nocach, a które opisywały chwalebne, szlachetne czyny wielkich rycerzy.

Przechyliłem do dna puchar z winem i spojrzałem na swego rozmówcę. Zimne oczy wpatrywały się we mnie czujnie i uważnie:

– Chyba jednak nie wszystko mi opowiedziałeś, dobry człowieku. Tak ja, jak i ty wiemy doskonale, że to nie koniec historii tej chustki. Dla swojego dobra mów dalej – odparł tonem nieznośnym sprzeciwu, który zmroził mnie ukrytą groźbą.

– Dobrze, Panie, tylko żebyś na koniec nie miał do mnie pretensji, jeśli ci się coś nie spodoba. Pozwolisz jednak, że zamówię sobie jeszcze puchar tego przedniego miodu, bo historia jest długa, a powietrze dziś jakoś takie suche.

Zakapturzona postać skinęła głową na znak zgody. Gdy karczmarz przyniósł kielich, podjąłem dalej opowieść:

– Jak zapewne wiesz, Panie, zaraz po bitwie Henryk ogłosił się nowym królem i założył na głowę pogiętą koronę, zdjętą dopiero co z głowy króla Ryszarda III. Sir William na krótko stał się ulubieńcem i podporą nowego władcy, którego czekała dalsza walka o utrzymanie władzy. Bitwa była krwawa i zginęło w niej wielu rycerzy. Z tego też powodu nasz Harry w przyspieszonym trybie został pasowany na rycerza. Nowy władca potrzebował wielu obrońców tronu. W zasadzie Harry był zbyt biedny i nie stać go było na ten zaszczyt, lecz że urodzony był pod szczęśliwą gwiazdą, odziedziczył po Geraldzie piękną zbroję wraz ze strojami i orężem. Mistrz malarzki wymalował na tarczy herb rodowy McGrafów, a hafciarki po wypruciu godła McGregora wyhaftowały w to miejsce inicjały Harrego. Pięknie się prezentował. Sir William dbał o swoich zbrojnych. Po krótkim kursie dobrych obyczajów, którego udzielił świeżo upieczonemu rycerzowi mistrz ceremoniału, stał się on ulubieńcem sir Williama i jego dam dworu. Nie wiedziały one jednak tego, że swe młode serce oddał damie w czarnej zbroi, a jej chustkę nosił przy sercu w specjalnej kieszonce. Była to jego słodka tajemnica. Pragnął ją odnaleźć, by ofiarować swe usługi i zrobić damę swego serca. Wypytywał o nią dyskretnie uczestników bitwy, lecz nikt nie potrafił mu czegokolwiek powiedzieć na jej temat. Okazało się, że nikt nie widział rycerza

w czarnej zbroi. Było to dziwne. Harry jednak się nie poddawał. Został członkiem przybocznej świty sir Williama i wspólnie z nim odwiedzał okoliczne dwory. Wszędzie wypatrywał swej umiłowanej. Tak minęły dwa lata jego bezowocnych poszukiwań, spędzonych na przyglądaniu się każdej dwórcie. Jednak bez powodzenia. To ciągle uważne przypatrywanie się im powodowało, iż niektóre czuły się w jakimś stopniu wyróżnione i adorowane przez młodzieńca. Harry mógł się podobać kobietom. Był wysoki i dobrze zbudowany. Delikatna twarz okolona zarostem i długimi, jasnymi, układającymi się w regularne fale włosami nadawała mu wygląd cherubina. W dużych ciemnobrązowych oczach zakochała się niejedna z nich. Wzdychały do niego po kątach i stały w jego kierunku tęskne spojrzenia. On z początku był nieczuły na ich zaloty, nosząc w sercu obraz swej wybranki. Jednak któregoś dnia pewna urodziwa dwórczka wślizgnęła się wieczorem do komnaty Harrego tuż przed końcem uczy, podczas której wino wszystkim zaszuflało w głowie, i wykorzystała chwilę jego słabości. Nasz bohater przeżył szok, zobaczywszy w przytłumionym świetle świec młode, ponętne, nagie ciało panny. Wyglądała jak kotka, pręcąc się w jego łóżko, kusząc go swym ciałem. Natura zwyciężyła, a że panna mimo młodego wieku była biegłą w sztuce miłości, nasz rycerz zapamiętał tę noc do końca życia. Rankiem po przebudzeniu miał wyrzuty sumienia i gryzło go ono jeszcze przez wiele dni. Jednak odkryty przez niego fascynujący świat fizycznej miłości i przyjemności stłumił je. W końcu dał sobie rozgrzeszenie po ponownej upojonej nocy z wcześniej wspomnianą dwórczką. Mijały lata i niejedna panna z okolicznych dworów mile wspominała chwile bliższej znajomości z przystojnym rycerzem. On jednak nie zapomniał o pięknej zjawie sprzed lat i dalej poszukiwał swej prawdziwej miłości. Czarna chusteczka była materialnym dowodem na jej istnienie. Wciąż uwięziona w kieszonce na sercu czekała na moment, kiedy będzie zdobić ramię na jego pancerzu. Tak więc, Panie, historia o tym, że Harry zachował czystość i wierność swej wybrance jest nieprawdziwa. Ale niech tak zostanie, nie należy psuć jego dobrego wizerunku.

– Taaa – przerwał mi zakapturzony osobnik – ale to nie posuwa do przodu historii czarnej chusteczki.

– Drogi Panie, w zasadzie to nie ma tu o czym opowiadać, bo jest to historia bardzo krótka. Jednak jeśli nie opowiem ci o zdarzeniach z nią powiązanych, niewiele będzie warta. Uzbroj się zatem w cierpliwość i słuchaj.

Mój rozmówca ponownie kiwnął głową na znak zgody. Łyknąłem wina, by przepłukać gardło i kontynuowałem:

– Po pamiętnej bitwie pod Bosworth Harry przez dwa lata bezskutecznie poszukiwał czarnej damy. W końcu ponownie zobaczył ją w czasie bitwy pod Stoke Field. Król Henryk VII musiał wtedy walczyć o utrzymanie się na tronie. Jego przeciwnikami byli niezadowoleni z jego rządów Plantagenetowie i ich sojusznicy. Mój pan, bo byłem już wtedy jego giermkim, zobaczył ją w samym środku bitwy. Tak jak poprzednio na czarnym koniu i w czarnej zbroi. Ze wzniesionym orężem rzucił się w wir walki. Każdy, kto stanął mu na drodze, padał pod ciosami jego miecza. Parł niestrudzenie w kierunku Czarnej Damy. W końcu zabrakło mu przeciwników. Gdy opadł pył bitewny, dookoła niego piętrzył się stos martwych wrogów. Jednak cel jego dążeń zniknął w tajemniczy sposób. Szaleńcza walka Harrego, która przechyliła szalę zwycięstwa, została doceniona przez władcę. Obdarował go złotym pierścieniem na oczach całego wojska i przyjął do swojej gwardii przybocznej. Mijały lata. McGraf widywał swą wybrankę w prawie każdej bitwie, nigdy jednak nie udało mu się do niej dotrzeć. Wszyscy myśleli, że jego szaleńcza walka to efekt jego odwagi, a tak naprawdę on tylko chciał ponownie ją zobaczyć. W końcu doczekał się spełnienia swoich marzeń. Był już wtedy prawie starcem, skończył czterdzieści pięć lat i podczas jednej



dok. ze str. 17

z potyczek został ranny. Spadł z konia. W chwili, gdy usiłował się podnieść, zniecacka podjechała Ona. Harry wyjął spod pancerza chustkę z wyhaftowaną literą D, wyciągnął w jej kierunku i rzekł:

– Witaj, Pani, oto twa zguba.

– Witaj, McGrafie – odpowiedziała.

– Znasz, pani, moje imię? – zapytał zdziwiony.

– Oczywiście. Któż nie słyszał o tobie, rycerzu, o twojej szlachetności, odwadze i honorze – odparła.

– Piękna pani, w końcu cię odnalazłem! Przyjmij me służby i pozwól, bym mógł oddać swoje życie, broniąc Twego honoru, i wyjaw mi swe imię, abym mógł Cię słać w świecie.

– Naprawdę chcesz poznać moje imię i zostać moim rycerzem? – spytała.

– Pani, nie marzę o niczym innym.

– Dobrze, zatem słuchaj. – Kobieta pochyliła się, odsłoniła przyłbicę i wyszeptowała: – Na imię mi Death.

Rycerz zobaczył jej prawdziwą, straszną twarz. To był ostatni obraz, jaki zobaczył mój pan Harry McGraf. I to wszystko, co wiem na ten temat.

Wyszło mi w gardle. Chciałem, by mój słuchacz jak najszybciej sobie poszedł. Ciekawe, kim o jest? – pomyślałem. A on, jakby czytając w moich myślach, rzekł:

– Jam jest Samael, Anioł Śmierci. Dostarczyłem wyroków. Ten mam dla ciebie. Za dużo wiesz, człowieku. Położył przede mną pergamin i odszedł. Gdy mijał się w drzwiach z piękną kobietą, podał jej czarną jedwabną chustkę z wyhaftowaną złotą literą „D”.

– Oto twoja chustka, Pani. Jest twój...

**Janusz Włodarczyk** – urodzony w 1956 r. w Łodzi. Mieszkaniec położonego wśród lasów i jezior Myśliborza. Z zawodu optyk. Kilkukrotnie laureat konkursów „O Łabędzie Pióro” za opowiadania i wiersze. Autor „Małego Księcia ze strychu”. Pasjonat rodziny i nurkowania.



## GORZOWSCY LITERACI POD SKRZYDŁAMI PEGAZA

Jubileusz 100-lecia powstania Związku Literatów Polskich gorzowski Oddział ZLP pod przewodnictwem prezesa Ireneusza Krzysztofa Szmida uczcił wydaniem obszernego leksykonu *Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza. Nowy almanach poetów i pisarzy*, który ułożył właśnie I.K. Szmida (wybór, układ tekstów i ilustracji), a redakcyjnie opracowali go wspólnie szef Oddziału i dr Krystyna Kamińska, prywatnie małżonka pisarza.

We wstępie do leksykonu autor napisał, że „Połowa z żyjących bohaterów tej książki ma jednakże małą wspólną rzecz: LEGITYMACJĘ Związku Literatów Polskich i od 15 lat własny jego gorzowski Oddział. Pomyślałem, że dla uczczenia właśnie tego jubileuszu warto w spektakularnej formie almanachu przybliżyć 27 sylwetek poetów i pisarzy zrzeszonych w ZLP, 25 zbliżonych do nas, ale jeszcze bez legitymacji, oraz 16 już rezydentów niebiańskiego Parnasu. Adresuję tę książkę do tych, którzy nas czytają, ale i do tych, którzy znają nas tylko z widzenia lub słyszenia, a dzięki tej książce zechcą bliżej poznać nas i choć w niewielkim wyborze nasz twórczy dorobek”.

Almanach twórców gorzowskich podzielony został na trzy części: pierwsza – „Poeci i pisarze zrzeszeni w Związku Literatów Polskich”, druga – „Poeci i pisarze spoza ZLP” i trzecia, poświęcona zmarłym już pisarzom, pt. „Ci, którzy odeszli”. Stąd omawianie leksykonu zacznę od końca, czyli od korzeni... Początek bowiem tworzenia się powojennego środowiska pisarskiego w Gorzowie Wielkopolskim dał bez wątpienia osiadły tu Włodzimierz Korsak, przedwojenny jeszcze członek ZZLP, łowczy i przyrodnik, autor gawęd myśliwskich i opowiadań dla młodzieży. Krótko po nim w Gorzowie zamieszkali również Zdzisław Morawski, Irena Dowgielewicz i pierwsza na świecie romska poetka Bronisława Wajs-Papusza. To ci właśnie literaci współtworzyli pierwszy lubuski Oddział ZLP, który powstał w październiku 1961 r. wówczas w... Zielonej Górze, ówczesnej stolicy województwa, jako 13. placówka związkowa w Polsce.

Z czasem na przestrzeni lat 1962-2004 do zielonogórskiego, a raczej lubuskiego Oddziału ZLP przybywali kolejni pisarze z Gorzowa lub jego okolic, jak: Witold Niedźwiecki, Jan Gross, Stanisława Plewińska, Tadeusz Szyfer, Florian Nowicki, Kazimierz Jankowski, Bronisław Słomka, Kazimierz Furman, Maria Przybylak, Henryk W. Kordoń, Ireneusz K. Szmida, Ludwik

I. Lipnicki i ks. Marek Grewling. W marcu 1998 r. z inicjatywy zielonogórskiego Oddziału powstał Klub Literacki ZLP w Gorzowie, stanowiący załączek pod przyszłą agendę Związku, który wymogi statutowe spełnił sześć lat później i uchwałą Zarządu Głównego ZLP został powołany do życia w październiku 2004 r., a działalność zainaugurował w grudniu 2004 r. jako 22. w kraju filia terenowa stowarzyszenia. W strukturze gorzowskiego Oddziału znaleźli się Wincenty Zdzitowiecki i cygański pisarz Karol Gierliński-Parno. Dziś nikt już z wymienionych weteranów pióra nie żyje, ale miasto, władze i mieszkańcy nie zapomnieli o swoich lokalnych twórcach słowa, wielu bowiem z nich upamiętniono pomnikami, obeliskami, popiersiami, pamiątkowymi tablicami i płytami w Alei Gwiazd na Starym Rynku oraz nazwami ulic, zaułków, parków, szkół i bibliotek. Ponadto organizowano wiele konkursów literackich, fraszkopisarskich i fotograficznych ich imienia, a nawet festiwale (np. Papuszy, Morawskiego, Jankowskiego, Dowgielewiczowej, Furmana, Grossa, Korsaka).

Zatem warto wreszcie przejść do części pierwszej almanachu, poświęconego aktualnym członkom ZLP. W chwili jego wydania w 2019 r. członkami gorzowskiego Oddziału ZLP było 26 literatów zamieszkałych w Gorzowie i północnej części województwa lubuskiego, np. Sulęcinnie, Deszczynie, Skwierzynie, Trzebiszewie lub w miejscowościach należących przed 1999 r. do województwa gorzowskiego, jak Barlinek, Choszczno i Myślibórz, lub nawet zamieszkałych po drugiej stronie Odry i Bałtyku. Obecnie lista ta uszczupliła się o trzy nazwiska, gdyż w październiku 2020 r. zmarł Henryk Wawrzyniec Kordoń, a z początkiem 2021 r. odeszli do wieczności Ludwik Ireneusz Lipnicki i autor almanachu Ireneusz Krzysztof Szmida; wszyscy oni w przeszłości byli laureatami Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

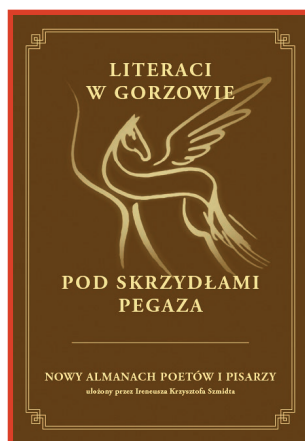
Z grona aktualnych członków gorzowskiego środowiska pisarskiego warto natomiast wspomnieć długoletnich autorów należących do ZLP, jak: Krystyna Caban, Łucja Fornalczyk-Fice, Roman Habdas, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, Aldona Robak, Barbara Trawińska, Joanna Ziemińska-Kurek, Irena Zielińska, Władysław Łazuka czy prof. Elżbieta Skorupska-Raczyńska, dziś rektor gorzowskiej Akademii im. Jakuba z Paradyża, oraz Karol Graczyk – laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 2008 r. Z członków ZLP najstarsi obecnie żyjący pisarze to: poetka Bar-

bara Trawińska (rocznik 1938), poeta i rzeźbiarz Jerzy Gąsiorek ps. Gąsior (rocznik 1941), powieściopisarz i malarz Eduard Diłanian z Sulęcina (ur. 1943 r.) i poeta Władysław Łazuka z Choszczyna, urodzony tuż po II wojnie, w 1946 r. Najmłodszy twórcy zaś to: dziennikarka i pisarka Beata Igielska (rocznik 1968) ze Skwierzyny, poetka i dziennikarka Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk (ur. 1973) z Deszczna oraz poeta i redaktor Karol Graczyk (ur. 1984) pochodzący z Deszczna, a obecnie zamieszkały w Toruniu. Jednych twórców od drugich dzieli więc różnica dwóch-trzech pokoleń.

Część druga almanachu, podobnie jak pierwsza, zawiera biogramy, lirykę i fragmenty prozy oraz omówień krytycznych pisarzy, którzy jednak nie należą do żadnych struktur związkowych. I w tej grupie znajdują się nazwiska „głośnie”, jak i niemal debiutantów, stąd też spore różnice wiekowe między twórcami, sięgające ponad 60 lat. Najstarsi w tym gronie to poeta i prozaik romski, kompozytor i muzyk Edward Dębicki (rocznik 1935), prozatkorka Łucja Marczyk-Rajchel (ur. 1936) oraz poetka i satyryczka Janina Jurgowiak ps. Jaszka (rocznik 1940), najmłodszy zaś to: poeta Tomasz Korbanek (rocznik 1985), poetka i eseistka Agnieszka Moroz (ur. 1987), poetka Patrycja Kopacka (ur. 1995), a także rok młodszą od niej poetka i blogerka Kalina Moskaluk, córka pisarki i wydawcy Agnieszki Kopaczyńskiej i rzeźbiarza Andrzeja Moskaluka.

Warto nadmienić, że w gronie twórców niestowarzyszonych (tak naprawdę wielu z nich swój rodowód literacki utożsamia z instytucjami gorzowskimi, np. z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury, Klubem Poetów Okrągłego Stołu, Stowarzyszeniem Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej lub Uniwersytetem Trzeciego Wieku, a także instytucjami ogólnopolskimi, jak SDP i ZAiKS) są też poeci już ze znacznym dorobkiem literackim i wieloma nagrodami, jak: Beata Patrycja Klary, która dwukrotnie otrzymała Lubuski Wawrzyn Literacki – w 2011 i 2015 r. oraz Marek Wojciechowski ps. Lobo – również dwukrotny zdobywca Wawrzynu – w 2009 i 2019 r., jak też pisarze nominowani do tej nagrody lub uhonorowani innymi laurami poetyckimi bądź kulturalnymi, np. wspomniany Edward Dębicki, ks. Jerzy Hajduga, Jacek Lauda, Anna Dominiak, Agnieszka Moroz, Anna Żłobińska, Tomasz Walczak i Marek Stachowiak.

Nowy almanach *Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza* to już trzeci z tej serii leksykon poświęcony twórczości gorzowskich pisarzy. Pierwszy, napisany przez dr Krystynę Kamińską *Leksykon literatury gorzowskiej* (Wyd. WAG Arsenal, Gorzów Wlkp.), ukazał się w 2003 r. i zawierał 72 wizytówki pisarzy z Gorzowa i innych miast dawnego województwa gorzowskiego; drugi, pod redakcją K. Kamińskiej i I.K. Szmida, z wyborem i układem tekstów I.K. Szmida *Almanach poetów i pisarzy ZLP w X rocznicę Oddziału Związku Literatów Polskich w Gorzowie Wielkopolskim* (Wyd. ZLP, Gorzów Wlkp.) wyszedł w 2014 r. z okazji X rocznicy zawiązania gorzowskiego Oddziału ZLP, a znajdowały się w nim 24 biogramy wyłącznie członków Związku z Gorzowa i północy województwa lubuskiego. Porównując poprzednie leksykony z obecnym, można zadać pytanie, czego zabrakło w ostatnim? Z pewnością informacji o przedwojennych literatach niemieckiego Landsbergu an der Warthe, a urodzili się w nim lub tworzyli choćby Christa Wolff – znana pisarka wschodniemiecka, Gottfried Benn – ekspresjonistyczny poeta i eseista postmodernizmu, a także pomniejsi twórcy niemieckiej literatury, np.: Adolf W.E. von Winterfeld – wojskowy satyryk i tłumacz, jego brat Ludwig A.F. – dramaturg, Paul Volger – dramaturg, wydawca i redaktor, Paul Schulze-Berghof – autor trylogii histo-



rycznej, Eduard Schulz – poeta i prozaik z 1 poł. XIX w., Adolf Fischer – poeta i pieśniarz, Rudolf Eckert – dramaturg i kronikarz, Paul Dahms – prozaik i gawędziarz, August Friedrich Cranz – oświeceniowy poeta i satyryk, Leopold Bornitz – poeta i dziennikarz, Rudolf Braunburg – reporter i podróżnik oraz Gottfried Bernhardt – żydowski humanista, filolog i historyk literatury.

Warto także było odnotować nazwiska autorów, którzy byli umieszczeni w poprzednich leksykonach, a ze względu na zmianę miejsca zamieszkania lub śmierć nie zostali choćby czytelnikom przypomniani, a byli przecież dłużej lub krócej związani z miastem nad Wartą i regionem lubuskim, jak: Romana Kaszczyk, Zygmunt

Trziszka, Janusz Olczak, Nina Pawłowska, Stefan Wachnowski, Władysław Wróblewski, Tadeusz Zaborowski, Jerzy Zysnarski czy Dariusz Muszer i Piotr Bukartyk. Myślę, że takie dopełnienie sprawiłoby, że nowy almanach stałby się niejako swoistym kompendium wiedzy o przed- i powojennym środowisku piszących z Gorzowa i okolic.

A co szczególnie wyróżnia najnowszy almanach *Literaci w Gorzowie*? Z pewnością z jednej strony szata graficzna i walor edytorski publikacji (ciekawy koncept wydawniczy, bogactwo fotografii, rysunków i karykatur, reprodukcje okładek książek, cytaty ze złotymi myślami pisarzy, kolorowy druk, kredowy papier, twarda oprawa), z drugiej zaś ogromna i rzetelna praca redakcyjna. Leksykon przy każdym nazwisku twórcy zawiera jego biografię ze zdjęciem, kilka wierszy lub fragmenty prozy oraz wybrane passusy omówień krytycznych poszczególnych książek lub całej twórczości.

Najwięcej not recenzenckich wydanych tomików, powieści i opowiadań autorów gorzowskich zamieszczanych było w „Pegazie Lubuskim” – piśmie gorzowskiego Oddziału ZLP, pióra Krystyny Kamińskiej, ale też innych krytyków literatury, filologów i redaktorów, m.in. Czesława Sobkowiaka, Zenona Łukaszewicza, Czesława Markiewicza, Jana Kurowickiego, Małgorzaty Mikołajczak, Alfreda Siateckiego, Renaty Ochwat, Ireneusza K. Szmida, Anny Dominiak, Beaty P. Klary, Marka Grewlinga i uznanych pisarzy krajowych: Urszuli M. Benki, Ingi Iwasiów, Leszka Żulińskiego, Stefana Pastuszewskiego, Zdzisława Łączkowskiego, Mariana Yoph-Żabińskiego, Karola Maliszewskiego, Marka Wawrzkiwicza, Leszka Dembka i Kazimierza Rinka. Ich recenzje krytycznoliterackie zamieszczane były najczęściej na łamach „Pegaza Lubuskiego” oraz „Nadodrza”, „Gazety Lubuskiej”, „Ziemi Gorzowskiej”, „Lubuskiego Nadodrza” lub zielonogórskiego kwartalnika literacko-artystycznego „Pro Libris”.

Leksykon gorzowskich poetów i pisarzy *Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza* to publikacja wyjątkowa i unikatowa, świetnie przygotowana od strony merytorycznej i biobibliograficznej oraz edytorskiej, czego dowodem jest nominacja książki do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego. Publikacja warta jest polecenia każdemu, kto żywo interesuje się literaturą w wymiarze ogólnopolskim i regionalnym, zwłaszcza polonistom, historykom, studentom, bibliotekarzom i regionalistom oraz wszystkim miłośnikom słowa pisanego w Gorzowie Wielkopolskim i na Ziemi Lubuskiej.

**Robert Rudiak**

*Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza. Nowy almanach poetów i pisarzy, ułożony przez Ireneusza Krzysztofa Szmida (wybór, układ tekstów i ilustracji), redakcja i posłowie Krystyna Kamińska i Ireneusz K. Szmida, Biblioteka „Pegaza Lubuskiego”, Wyd. Związek Literatów Polskich, Gorzów Wielkopolski 2019, 420 s.*

## POWIEŚĆ Z TEZĄ CZY PROWOKACJA?

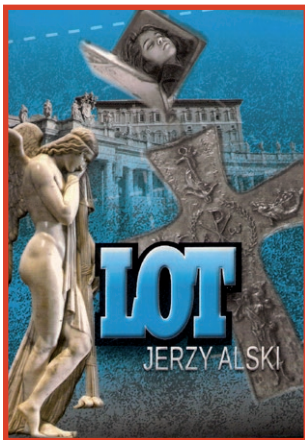
Bohaterowie najnowszej powieści Alskiego po raz kolejny wciągają nas w historię skandalizującą miłości, a Alski zaskakuje następną szaloną, choć idealistyczną koncepcją dotyczącą tym razem relacji między człowiekiem a złem. Chrześcijaństwo być może miało większy wpływ na kształtowanie się losu człowieka niż jakakolwiek filozofia instytucjonalna. Okres jego dominacji jednak – widać to coraz wyraźniej – zbliża się ku końcowi, dlatego Alski swoją ostatnią książką odpowiada na potrzebę dokonania jej oceny. Stawia tu między innymi pytania o rolę kobiet w Kościele. O to, czy możliwy jest świat bez nienawiści. Podnosi także kwestię odpowiedzialności Kościoła za wszelkie okrucieństwo i cierpienie. Poruszając ten ważki dla współczesnego świata problem, nie szczędzi nam religijnych i filozoficznych źródeł, które, co trzeba przyznać, podnoszą poznawczą wartość książki. Jednak budując fabułę, stosuje wypracowaną w poprzednich powieściach formułę – tworzy świat, w którym główną rolę grają do szaleństwa w sobie zakochani bohaterowie (Alski w opisach ich miłosnych uniesień jest nie do zdarcia, a jego wyobraźnia jawi się tu jako studnia bez dna). Książka, której okładka eksponuje najważniejsze symbole chrześcijaństwa, mieści w sobie takie fragmenty, przy których mógłby zarumienić się nawet libertyn.

Autor „Magroddena” wprowadza nas tym razem w środowisko najwyższych hierarchów Kościoła. Choć fabułę konstruuje sprawnie i daje nam niezwykle wciągającą historię, nie potrafi, mimo ogromnego pisarskiego potencjału, stworzyć świata, w który czytelnik do końca uwierzy.

Aspirujący do poziomu wielkich realistów, pieczołowicie opisujący najdrobniejsze detale świata (co zostało już wielokrotnie zauważone), operujący wybitnie plastycznym językiem, dający nam mnóstwo przykuwających uwagę obrazów, nie przestaje tworzyć postaci niespójnych psychologicznie, których jedyną ambicją pozostaje reprezentowanie określonych ideologicznych stanowisk, które, co należy podkreślić, zostały tu jaskrawo spolaryzowane – mamy wyraźny podział na dobro i zło, czerń i biel są tu wyjątkowo od siebie odległe, a szarość nie istnieje. Zauważalne uproszczenia i pęknięcia w osobowościowych konstrukcjach bohaterów wynikają, jak się może wydawać, z nieopanowanej potrzeby autora, by dopasować ich indywidualne cechy do postaw, które mają uosabiać. I wszystko kończy się sielankowo – zło przechodzi na stronę dobra, egocentrycy stają się altruistami, czarne charaktery przeistaczają się w uosobienie sprawiedliwości. Niestety, brak tu dostatecznego fabularnego uzasadnienia dla tych metamorfoz.

Alski, tworząc powieściowe realia, wpada w koleiny schematów. Począwszy od imion jego bohaterów stanowiących groteskowe połączenie egzaltacji i folkloru (zbuntowana femme fatale, ateistka i doktorantka Amelia to córka jakby wyjętych z serialu „Rancho” Gieni i Zenka i siostra wielbiciela disco polo, przysłowiowego Sebastiana). Schematycznie ukazane są też sytuacje rodzinne. Pierwszoplanowy bohater Krzysztof, określany w powieści jako ekscentryk, to postać miąkała, podporządkowana, dająca (niezależnie od intencji manipulantów) sterować sobą. Godząca się na upokorzenia (misja ukochanej Amelii podróżującej do Rzymu z rannym byłym kochankiem – biskupem).

Niekonsekwentnie zbudowana została także postać Amelii, która usiłuje być obrazoburczą, wyzwolona, nawet wulgarna, by za chwilę wpaść w schemat dziewczyny zadurzonej w starszym kochanku, pragnącej z nim gromadki dzieci. Naprawdę, trudno uwierzyć, że niezależnie myśląca, atrakcyjna fizycznie i drapieżna mentalnie dziewczyna może trwać w fascynacji (choćby nie wiem, jak inteligentnym i zamożnym – sama przecież pochodzi



z zasobniejszych finansowo, nowobogackich sfer) facetem, który w co drugim zdaniu, językiem zaczerpniętym z „Pieśni nad pieśniami”, zapewnia ją o swojej nieprawdopodobnie wielkiej do niej miłości. Aż dziwne, że ta zakochana (powiedzieć: do szaleństwa to jakby nie powiedzieć nic) w sobie para nie umiera na 50. stronie z braku tlenu. W realnych, nie harlequinowych uwarunkowaniach taka relacja nie potrwałaby długo. No, ale tu mamy szlachetną ideę – postulat reformowania toczącego się w przepaść Kościoła. Misji zapoczątkowania tych zmian podejmuje się wspomniany już trójkąt miłosny. Nieistotnym zupełnie jest to, że do realizacji tej wzniosłej idei bynajmniej nie motywują ich wzniosłe pobudki. To nie są ludzie „po prostu dobrzy, dokonujący czynów niemalże heroicznych”. To znudzona luksusem elita, szukająca wrażeń w podjętej misji.

Bohaterowie „Lotu” są bardzo rozdyktowani. Piją przy tym drogie trunki, latają samolotami, ganiają się po arcykosztownych apartamentach, jeżdżą (wożeni przez szoferów) luksusowymi samochodami, obdarowują zegarkami wartości Maserati. Mając usta pełne oczywistych haseł o potrzebie miłości i wzajemnego przebaczenia, które wygłaszają w niezliczonych, dodających objętości książce tyradach (przycytane są tu nie tylko namaszczone rozmowy toczone przy kawie i ciastkach, ale także strzeliste homilie liberałów wygłaszane z ambon), podejmują się misji, która jest dla nich przygodą, wyzwaniem, surwiwalem. Czy tak naprawdę chcą pomóc światu? Zatrzymać szerzące się zło? Wskrzęcić pierwotną ideę chrześcijaństwa? A może tylko usankcjonować swoją potrzebę hedonizmu i władzy? Wygodnie urządzić się w purpurowym świecie? Rafał – biskup, a później papież (sic), nie potrafi zrezygnować z kariery kościelnego dygnitarza, mimo że wiąże się z kobietą i nawet odpowiada mu rola celebryty w rzymskiej dyskotekce, gdzie odprawia ekuumeniczną i przełomową mszę. Trudno odnieść wrażenie, że bohaterowie tej powieści to walczący z kryzysem Kościoła reformatorzy, którzy chcą dobra wspólnoty. To raczej ludzie z dygnitarskimi ambicjami, niepotrafiący żyć poza sferami tego czy innego establishmentu. Pokora, prawdziwa, a nie widowiskowa ofiarność, są im zupełnie obce. Skojarzanie z pewną powieścią Orwella jest tu nieuniknione.

Alski, chcąc wskazać nową drogę Kościoła, kierunek jego zmian, tak naprawdę daje nam powieść, która jeszcze bardziej odślania hipokryzję ludzi tworzących jego hierarchię. Nie jest to obraz budujący. Kto chciałby należeć do wspólnoty, której przewodzi papież – kobieciarz i wytrawny kochanek, wykorzystujący swoje instytucjonalne umocowania i koneksje do wprowadzania takich zmian w prawie, które służą przede wszystkim interesom jego i ludzi z jego wąskiego otoczenia? Oczywiście wszystko pod płaszczykiem wielkiej i słusznej idei. Incydent pokazujący heroizm Amelii, a później patetyczna scena jej dekorowania na Placu Świętego Piotra to wisienki na torcie tej wydumanej wizji.

W finałowej scenie spodziewałam się jeszcze czyjegóż wniebowstąpienia. Autor jednak potrafił powściągnąć wyobraźnię. Daje to nadzieję, że się opamięta i w kolejnych powieściach zjedzie na ziemię.

A może zbyt serio to wszystko odczytałam? Może intencją autora była prowokacja? Oznaczałoby to, że irytacja czytelnika jest jakimś wskaźnikiem sukcesu tej książki.

Wciąż jednak nie mogę doczekać się powieści, w której Alski opisze mniej błyszczącą stronę świata. Bo mimo wszystko świetnie się go czyta.

**Anna Dominiak**

Jerzy Alski, *Lot*, Wydawnictwo Literackie Atena, Poznań 2020, 616 s.

## KONTYNUATOR LEGENDARNEGO MISTRZA

Przeczytajcie, jak Krzysztof Fedorowicz w „Zaświatach” opisuje smak dwóch gatunków wina: *Chrupiąca, lekko pikantna skórka, atlasowa miękkość, czereśnia i oddech sosnowego lasu – to właśnie böhmischer. Wießburgunder to wiatr od morza, zapierający dech łąką z kępami mięty, rumiankiem, pokrzywą, czosnkiem niedźwiedzim. Przenikającymi się w miłości owocami pomarańczy, brzoskwini i moreli.*

Ileż trzeba mieć w sobie miłości do wina, aby tak o nim pisać!

\*

Przed laty winnice w Zielonej Górze zajmowały 750 hektarów na okolicznych wzgórzach. Po 1945 r. niemal w całości je zlikwidowano. Od ok. 20 lat za sprawą takich ludzi jak Krzysztof Fedorowicz winnice się odradzają. Choć na ogół w tych samych miejscach, ale z nowymi nasadzeniami. Tymczasem dorodne winogrona rodzą się na krzewach co najmniej stuletnich. Dopiero z nich powstaje dobre wino. Nikt, kto posadzi krzew winnej latorośli, nie zobaczy go w rozwojowej pełni.

\*

Najbardziej znanym zielonogórskim winiarzem był August Grempler (1793-1859), wytwórca musującego wina znanego w całych Niemczech. To jego uczynił Krzysztof Fedorowicz centralną postacią opowieści o zielonogórskim winiarstwie. Szacowny August prowadzi czytelnika w zaświaty pełne winogron. Najpierw do winiarzy, których żony zostały oskarżone o czary, a nawet spalone na stosach. Potem mamy długą opowieść o winnicach Gremplera z motywem przewodnim, jakim był marsz kobiet zrywających winogrona w kolejnych winnicach. Barwnie opisany jest wyjazd winiarzy do Australii, gdzie założyli pierwsze winnice z krzewów przywiezionych stąd. August Grempler jest obecny także w winnicach i winiarniach Zielonej Góry w 2020 r. Z troską patrzy na zniszczone dawne piwnice, kiedyś pełne butelek, a teraz będące komórkami dla mieszkańców. Ale widzi także wspólnie rozwijające się nowe plantacje. On wierzy, że winnice nie zaginą, wierzy w siłę wina, bo tam, gdzie wytwarza się wino, nie rodzą się społeczne zwyrodnienia, jak nacjonalizm czy faszyzm.

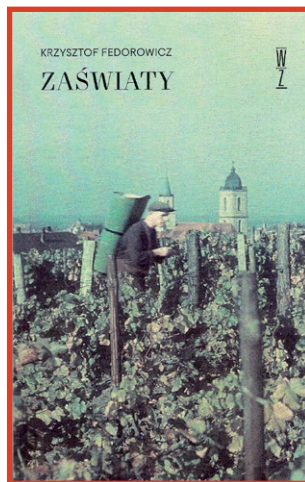
\*

Tam, gdzie rodzi się wino, miłość jest także piękna. W książce Krzysztofa Fedorowicza jest kilka niezwykle scen erotycznych. Ich bohaterami nie są młodzi, napaleni, a dostojni, pracownicy winiarzy, którzy czują miłością obdarzają swoje żony. Od mężczyzn dostojnie wyglądających na starych zdjęciach my, współcześni, nie spodziewalibyśmy się tak wzniosłego traktowania żon i subtelności w trakcie miłosnego aktu. Natomiast autor zobaczył w nich prawdziwych, czujących ludzi.

\*

„Zaświaty” Krzysztofa Fedorowicza nie są powieścią, nie są historycznym reportażem ani zbiorem esejów. Nie sposób zakwalifikować tę książkę do określonego gatunku literackiego, ale na pewno jest to literatura z górnej półki.

Choć mamy bohaterów, to najważniejsze są opisy dawnego świata, mocno osadzone w realiach wyczytanych ze starych map i archiwalnych dokumentów. Duża ilość niemieckich nazw nie tylko miejscowości, ale wzgórz, dolin, cieków wodnych utrudnia lekturę, ale jednocześnie jest dowodem autentyczności opisywanych miejsc i zdarzeń. W opowieści miesza się ciężka praca, jakiej wymaga winnica, z sielskością życia w jej sąsiedztwie, stała troska o dobrą jakość wina z łagodnością dnia codziennego. Dominuje



w „Zaświatach” klimat nie tyle niemieckiej, co śląskiej (bo Zielona Góra należała do Śląska) obyczajowości i kultury, bo przecież tylko taki mógł tu być. Echa tamtych klimatów docierają do bohaterów z naszych lat, bo podobnie zbiera się winogrona, poddaje podobnej obróbce, a potem tak samo martwi się o jakość wina. Krzysztof Fedorowicz, właściciel winnicy „Miłosz” w Łazie koło Zaboru, wytwórca wina o smaku podobnym do wina Gremplera, staje się kontynuatorem tradycji tamtego legendarnego mistrza.

\*

Moją opowieść o „Zaświatach” rozpoczęłam od cytatu, bo to język decyduje o niezwykłości tej książki. Nie tylko poetycki i wielobarwny, ale ułożony w przemyślane zdania, zrytmizowany, gdy trzeba, ale też płynny, gdy łagodnie świat. Na granicy między prozą a poezją. Znakomicie brzmi czytany na głos. Sprawdźcie.

\*

Na skrzydełku książki znakomity krytyk Karol Maliszewski pisze: *Zielona Góra i okolice zdobyły się na epos z mistyką winobrania w tle. Erudycyjna i eseistyczna, gęsta od metafor i materii skumulowanego czasu, proza dla smakoszy dobrego wina i kunsztownego stylu.*

Za „Zaświaty” jako najlepszą książkę prozatorską wydaną w 2020 r. Krzysztof Fedorowicz zdobył Lubuski Wawrzyn Literacki. Książka ta jest nominowana do nagrody „Nike” za 2020 r. Powodzenia!

Krystyna Kamińska

Krzysztof Fedorowicz, *Zaświaty*, wyd. Wysoki Zamek, Kraków 2020, 240 s.



hopLEM

17 i 18 września w Miejskim Centrum Kultury odbył się Festiwal Stanisława Lema, którego setną rocznicę urodzin obchodzimy w tym roku. Wykład główny wygłosił Stanisław Bereś, a dopełnieniem było wystąpienie Pawła Ferenstajna o komunizmie i socrealizmie w kontekście powieści tego pisarza. Otwarto wystawę i rozdano nagrody w konkursie na plakat inspirowany twórczością Lema, Marcin Ciężki zaprosił na happening „Lem do kwadratu”, była muzyka i prezentacja gorzowskich poetek – Marii Borcz i Krystyny Caban. O Lemie i festiwalu więcej w następnym numerze „Pegaza”.

## PROMOCJE WYDAWNICTW I SPOTKANIA AUTORSKIE

### PEGAZ LUBUSKI

1 lipca 2021 r. odbyła się **promocja 1-2 (83-84) numeru „Pegaza Lubuskiego”**. Ze smutkiem przyjęto informację o śmierci poety, krytyka literackiego, a zarazem redaktora naczelnego „Pegaza” **Ireneusza Krzysztofa Szmida** oraz poety i prozaika **Ludwika Lipnickiego**. Obowiązki redaktora i przewodnika po piśmie przejęła, tymczasowo, **Krystyna Kamińska**, omawiając na wstępie zawartość części pierwszej numeru, w całości poświęconej pamięci I.K. Szmida. W ramach przeglądu części drugiej, która – poprzez podjęte tematy – jest przede wszystkim literackim zapisem czasu pandemii, o opublikowanych na jego łamach utworach, warsztacie i planach literackich mówili: **Jerzy Alski, Aneta Gizińska-Hwozdyk, Hanna Bilińska-Stecyszyn, Tomasz Korbanek, Tomasz Walczak, Jolanta Karasińska, Anna Żłobińska**, ks. **Jerzy Hajduga, Maria Borcz, Beata P. Klary, Renata Ochwat** – autorka wywiadu z **Maciejem J. Dudziakiem, Marek Lobo Wojciechowski** i **Marek Stachowiak**.

### Z HISTORII REGIONU

2 lipca w Pyrzyckiej Bibliotece Publicznej o pracy nad trzecim tomem **„Słownika historycznego Nowej Marchii w średnio-wieczu”** (Gorzów 2021) mówił prof. **Edward Rymar**. Obok autora w promocji wziął udział dr **Paweł Migdalski**, redaktor naukowy i wydawca całej serii. Tego samego dnia swoją książkę wydaną nakładem gorzowskiej Książnicy (2021) **„Pogranicze. Przeszłość bez historii...”** rekomendował prof. **Marceli Tureczek**. Publikacja – traktująca o pograniczu polsko-niemieckim – ma charakter reportażu i eseju historycznego i, jak zaznaczył autor, stanowi próbę „wyciągnięcia z odcieni szarości tej przeszłości, której nie ma w podręcznikach do historii”. 20 sierpnia 2021 r. swoją premierę miała książka dotycząca tego samego tematu, a mianowicie **„Rubież – granica – pogranicze. Ludzie, konflikty i pamięć na dawnym pograniczu polsko-niemieckim w XVIII-XXI wieku”** pod red. dr **Karoliny Korendy-Gojdz** (WiMBP, Gorzów 2021). W spotkaniu, obok redaktora, udział wzięli autorzy zamieszczonych w książce tekstów.

5 sierpnia Dział Zbiorów Regionalnych zainicjował cykl **„Podróże z książką”**. W pierwszej odsłonie, zatytułowanej „Fortyfikacje doliny Warty i Noteci”, **Grzegorz Urbanek** zaprezentował książki poświęcone tym położonym w okolicach podgorzowskiego Czechowa obiektom obronnym.

### PATRON ROKU 2021 – STANISŁAW LEM

17 września w Filii nr 8 odbyło się spotkanie literackie poświęcone jednemu z patronów 2021 r. pt. „Stanisław Lem – najwybitniejszy przedstawiciel polskiej fantastyki naukowej”, które poprowadził **Mariusz Sobkowiak**.

### WSPOMNIENIA GORZOWSKICH SYBIRAKÓW

Bohaterką trzeciej części **„Wspomnień gorzowskich Sybiraków”** była pani **Władysława Skarzyńska** (29 czerwca). W serii, zainicjowanej przez Bibliotekę w celu upamiętnienia wielkich deportacji Polaków na „niehumanitarną ziemię” przez stalinowski reżim w 1940 r., swoimi dramatycznymi przeżyciami podzielili się także inni świadkowie tamtych wydarzeń: **Wiesław Szlachciuk** (10 lutego) i **Łucja Marczyk-Rajchel** (13 kwietnia).

### LUBUSKIE ROZMOWY U HERBERTA

**Sławomir Szenwald** – dyrektor Książnicy i prof. **Paweł Leszczyński** – prezes gorzowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego są autorami cyklicznych **„Lubuskich Rozmów u Herberta”**. Kolejne odcinki streszczają się w tytułach: „Polacy i bliscy sojusznicy w NATO – Kanada” (24 czerwca), „Polonia i Polacy poza granicami kraju” (z udziałem prof. Beaty Orłowskiej, 3 września), „Rada Europy – w 30. rocznicę przystąpienia Polski” (9 września).

### LETNIE CZYTANIE W LUBNIEWICACH

W ramach „Lubuskiego Lata Kulturalnego” Książnica Herberta wraz z Gminą Lubniewice i GOK „Pod Morwą” zaproponowali mieszkańcom i wczasowiczom cykl niedzielnych spotkań pt. **„Letnie czytanie”**. 11 i 18 lipca oraz 1 sierpnia w scenerii dawnej siedziby rodu von Waldow und Reitzenstein aktorzy Teatru im. J. Osterwy **Karolina Miłkowska-Prorok, Michał Anioł** i **Paweł Caban** zaprezentowali kolejno frag-



menty: powieści „Tego lata w Zawrociu” **Hanny Kowalewskiej, Tuwimowskiego „Piotra Płaksina”** i „Zemsty” **Aleksandra Fredry**. Każdej odsłonie „Letniego czytania” towarzyszył koncert przygotowany w ramach projektu „Lubniewickie Lato Muz”. Wśród gości znaleźli się m.in. obecni właściciele lubniewickiego zamku Jan Lubomirski-Lanckoroński z rodziną.

### WSCHÓD. SENTYMENTALNA PODRÓŻ

W ramach polsko-ukraińskiej współpracy kulturalnej w holu Książnicy Herberta miało miejsce wydarzenie artystyczne pt. **„Wschód. Sentymentalna Podróż”** (19 sierpnia). W koncercie, który był jednym z punktów III edycji Festiwalu Różnorodności „Wschodnia Strona Regionu 2021”, wystąpiły zespoły Barwinok, Dance Hayat, Czerwona Kalina oraz solistki Liudmila Kravchuk, Natalia Kulishenko, Maja Bazyk i Sofija. Poprzedził go cykl warsztatów artystycznych oraz wizyta w Bibliotece młodzieży ukraińskiej z miasta Kowel.

### DAWNYCH WSPOMNIENIŃ CZAR...

W sentymentalny klimat kawiarni sprzed lat przenieśli entuzjastów starych melodii dwa wydarzenia. 10 września zostali „zaproszeni” do nieistniejącej już (zaaranżowanej w Książnicy) kultowej **Café Wenecja**. Wspomnieniom bywalców gorzowskich lokali towarzyszyła muzyka z minionych czasów – kompozycje **Mariana Klauza** w wykonaniu zespołu **Dawida Troczewskiego**. Tydzień później, 17 września, odbył się koncert



pt. „A świat wtedy był różowy” z udziałem wspomnianego zespołu D. Troczewskiego, w którym muzycy zaprezentowali piosenki Mieczysława Fogga w nowych aranżacjach. W wydarzeniu, zorganizowanym w ramach projektu „Café Fogg”, wziął udział również prawnuk legendarnego artysty – **Michał Fogg** (na zdjęciu), który przedstawił interesujące wątki z jego życia.

### DYSKUSYJNE KLUBY KSIĄŻKI

Dużą aktywność przejawiały DKK. Przedmiotem dyskusji klubowiczów były – warte polecenia – książki, m.in.: „**Gaudi. Geniusz z Barcelony**” Gijsa van Hensbergena, „**Droga do Rio. Historie polskich emigrantów**” Aleksandry Pluty, „**Zamiana**” Rebeccy Fleet, „**Wehikuł czasu**” H.G. Wellsa, „**Zjadacz czerni 8**” Katarzyny Grocholi, „**Ostatni cud**” Marzeny Orczyk-Wiczowskiej, „**Pamiętnik księgarza**” Shauny Bythella.

### Z MYŚLĄ O NAJMŁODSZYCH

Na uwagę zasługują działania popularyzujące książkę i literaturę podjęte przez pracowników bibliotek dziecięcych w ramach akcji „**Wakacje z bohaterami ulubionych książek**” (m.in. zajęcia plastyczne z malarką Agatą Kaczuk-Jagielnik czy japoński teatr obrazkowy Kamishibai), jak też warsztaty promujące ekologię i zdrowy tryb życia realizowane w ramach projektu „**Mini ogród – maxi korzyść**”.

### PLASTYKA

**12 lipca** w Galerii „Krag” przy OIA odbył się wernisaż wystawy „**Jesień Życia tworzona w pandemii**” prezentującej prace mieszkańców gorzowskiego DPS nr 1 wykonane tak nietypowymi technikami, jak: decoupage, haft, dekoratorstwo, beton, wiklina papierowa czy stolarstwo.

Najlepsze, zdaniem jury, fotografie przyrodniczo-łowieckie zgłoszone na **Jubileuszowy V Konkurs Fotograficzny im. Włodzimierza Korsaka** można było podziwiać w holu Biblioteki Herberta od 16 do 30 lipca 2021 r.

**Anna Sokółka**

*dok. ze str. 2*

wieczerę” zbrukać, sponiewierać, zniszczyć. Albo: zrobię z waszego świata klepisko i wdępczę was w nie. Albo jeszcze: waszych lekarzy pošlę do więzienia, waszych nauczycieli ustawię w czworoboki, waszych sędziów zdepczę. Tak mówi osoba o mentalności niewolnika, pojmująca tylko to, że albo ona bije, albo ona jest bita i tak – według tej idei – zmienia świat. Biciem.

Jesteśmy bici. My, którzy widzimy tęczę tam, gdzie ma być jeden kolor, my, którzy argumentujemy tam, gdzie miejsce argumentu zajęło uderzenie w twarz, my, którzy sięgamy po metaforę, a metaforę zastąpił cios pałki. Czy mamy jakąś szansę? Nie – odpowiadam z pełną świadomością tego, co mówię. Albo inaczej – jeszcze nie teraz. Bo aspiracja jest cechą właściwą większości ludzi i współobywatele, współbracia, w końcu zaczną aspirować. Ta ewolucja nadejdzie, ale jeszcze nie teraz. Urok, jaki przed niewolnikami roztacza wizja zniewolenia ludzi wolnych, jest nieodparty. Ta wizja upadnie, jak upadała po wielokroć. Ale zanim upadnie, niejedno przyjdzie nam znieść i przed niejednym uciekać. Jak zwykle, będziemy się gnieździć po piwnicach i suterrenach wolnej myśli, wolnej poezji, wolnej sztuki. To jest, według niewolników, nasze właściwe miejsce – dowiedzieliśmy się tego już wiele razy. Ale na obrazie Gericaulta Wolność wywiedzie lud na barykady – nawet tak zaczadzony, tak otumaniony lud – dla zwycięstwa nie-faszystów, nie-totalitarystów, nie-fanatyków, dla zwycięstwa zwykłych ludzi. Dla zwycięstwa siebie i mnie.

**Alski**



**CZASOPISMO LITERACKIE**  
pod auspicjami WiMBP i ZLP w Gorzowie Wlkp.

Wydawcy: Oddział Związku Literatów Polskich w Gorzowie Wlkp. oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp.

P.o. red. nac.: Krystyna Kamińska, tel. 515 198 680, e-mail: kaminska.arsenal@wp.pl, sekretarz red.: Danuta Zielińska, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl.

Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Beata P. Klary, Ewa Rutkowska, Anna Sokółka. Zdjęcia: Kazimierz Ligocki oraz archiwa wydawcy i autorów. Skład komputerowy: Daniel Besta.

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne na stronie [www.wimbp.gorzow.pl](http://www.wimbp.gorzow.pl).

### ZASADY WSPÓŁPRACY

Przekazując materiały do redakcji czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w wersji online,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

## Ferdynand Głodzik

### MOWA KROWA

Życie krowy jest pozornie nieciekawe,  
 łeb przy ziemi, ciągle tylko skubie trawę,  
 a gdy czasem się nie martwi i nie ryczy,  
 to przeżywa swój szczęśliwy okres byczy.

Aby w zimie krowa mogła dawać mleczko,  
 karmi się ją ziemniakami oraz sieczką.  
 Płynie mleko poprzez krowy dojki cztery,  
 a ponadto jest śmietana, masło, sery.

Wiedzą wszyscy – od Zabuża do Nadodrza,  
 że w Krakowie się dzielnica zwie Krowodrza,  
 wiedzą także i pasterki, i dojarki,  
 że są góry, które zowią się Krowiarki!

Dziś, gdy nabiał można łatwo kupić w sklepie,  
 to o krowie ludzie mówią nie najlepiej,  
 chociaż wiedzą, że twarożek bardzo zdrowy,  
 zapomnieli jednak, że on jest od krowy.

Różne głupstwa ludziom chodzą dziś po głowie,  
 choćby takie ot: na zdrowie starej krowie,  
 lub na przykład: ona głupia jest jak krowa;  
 krowę przecież mogą boleć takie słowa.

Chociaż krowa żyje zwykle blisko żłobu,  
 dla swych potrzeb ma zapewne własny rozum,  
 a gdy ktoś ją uszczypliwym słowem raczył,  
 niech na rowie teraz z tego się tłumaczy!

### WIRTUALNE MLEKO

Gdy skończyły się siermiężne pegeery,  
 Dziś w oborach wszystkim rządzą komputery.  
 By inwentarz miał opiekę i był zdrowy,  
 Czuwa nad tym nowoczesny oborowy.

Wcale to nie takie proste, daję słowo!  
 Z komputerem się dogadać oraz z krową!  
 Trzeba liznąć trochę tej informatyki,  
 Trzeba także różne obce znać języki.

W myśl kanonów nowożytnej demokracji,  
 Oborowy ma być skory do mediacji.  
 On powinien także krowom pójść na rękę,  
 Które czasem pragną sobie uciąć drzemkę.

Krowom pewnie – choć dokładnie w to nie wnikiem,  
 Całkiem bliska musi być informatyka.  
 Może krowy mają w necie swoje skrzynki?  
 I gawędzą sobie czasem – jak blondynki.

## Janina Jurgowiak

### NIEDOBÓR WYOBRAŹNI

Cierpię okrutnie, tak mnie drażni  
 ułomność własnej wyobraźni.  
 Niewiele mi w tym życiu trzeba:  
 kieliszek wina, kromka chleba,  
 tanie igrzysko, jakiś ciuch,  
 to chyba wszystko.  
 I tylko jedno mi doskwiera –  
 brak wyobraźni w każdym względzie,  
 a tu, niestety, o cholera,  
 „wyobraź sobie” słyszę wszędzie.  
 Wyobraź sobie, mówi Kasia  
 i tu opowieść długą snuje  
 o tym, co Wacek jej szykuje.

Nie mogę sobie wyobrazić,  
 nie mogę no i już.  
 Cierpnę i aż mną trzęsie.  
 Bo niby co?  
 Że komuś ktoś,  
 że nazbyt drogo,  
 to i tamto...  
 i nie da rady?  
 Uciekam, znikam, nie ma mnie  
 i wpadam na kolegę,  
 a on się cieszy i zagaja:  
 Wyobraź sobie...  
 Krzyczę: Nie!  
 Ale on ciągnie o tym, że  
 ktoś komuś doniósł, coś powiedział  
 i wyszła z tego wielka chryja,  
 i Wacek pewnie będzie siedział,  
 bo nie potrafił zamknąć ryja,  
 a Kaśka teraz ma za swoje...

Nie wyobrażam sobie, wszak  
 wszystkiego w życiu mam akurat,  
 lecz wyobraźni brak.

Krowa może sobie czasem wejść na chatę,  
 Obojętnie, czy jest biała, czy łaciata.  
 Przeszukuje, z kim by warto mieć cielęta,  
 Taka krowa niekoniecznie chce być święta.

Może krowa też się czasem trochę wścieka,  
 Gdy się wirus z komputera pcha do mleka.  
 Mam obawy, choć się na tym mało znam,  
 Czy do mleka nie przedostał się już spam!

Krowy, które sobie w necie świetnie radzą,  
 Będą ryczeć, ale mleka nam nie dadzą!  
 Przyjdzie pora wytłumaczyć im na nowo  
 To, że krowa pozostanie zawsze krową.